



W. JAGNIAŃKOWSKI

Kartki
z PODRÓŻY



572

WŁADYSŁAW JAGNIĄTKOWSKI.

Kapitan wojsk francuskich w służbie czynnej.
(Infanterie de marine).

Kartki z podróży

TREŚĆ:

ROZMOWA Z BONZEM.
RELIGIA DALEKIEGO WSCHODU.
Taoizm. — Nauka Konfucjusza. —
Feng Czuï. — Buddhyzm. — Manda-
ryni. — Zdobyć Pey-Tang'u. — Wio-
ska Ké Roï. — Raison d'être de l'ar-
mée. — Na manewrach.
POWRÓT DO EUROPY. W Saigo-
nie. — Na wyspie Ceylon.



Cena 55 kop.

W prenum. 30½ kop.



59695

W-2

KATALOG

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”

z lat 1906, 1907 i 1908.

Cena pojedynczego tomu 25 kop. brosz. i 40 kop. oprawa.

POWIEŚCI.

- Berta bar. Suttner. DZIECI MARTY, 2 t.
Z. Morawska. ZMIERZCH I SWIT, 3 t.
Antoni Gawiński. SEN ZYCIA, 1 t.
T. Jeske-Choiński. MAŁŻENSTWO JAKICH WIELE, 1 t.
Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO, 2 t.
Marion. PAMIĘTNIK, 1 t.
Zofia Casanova (Lutosławska). DOKTÓR WOLSKI, 2 t.
E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM, 2 t.
Wiktor Gomułicki. CIURY, 3 t.
Kazimierz Gliński. CO MÓWIĄ LASY LITEWSKIE, 1 t.
Eliza Orzeszkowa. ISKRY, 2 t.
Marya Rodziewiczówna. ANIMA VILIS, 2 t.
Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI, 1 t.
Stan. Ostrowski. A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA, 1 t.
Artur Schnitzler. ŚMIERC, 1 t.
Tadeusz Rittner. NOWELE, 1 t.
Alexandra Suszczyńska. INACZĘJ, nowele, 1 t.
Teodor Dostojewski. BIESY, 8 t.
Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ, 2 t.
Eliza Orzeszkowa. WIDMA, 1 t.
Teod. Tom. Jeż. ZARNICA, powieść bułgarska, 3 t.
Józef Conrad (Korzeniowski). TAJNY AGENT, 2 t.
Marceli Prévost. LISTY DO FRANCISZKI ZAMĘŻNEJ, 2 t.
Jarosław Mikulicz. KROLEWIENKA, 1 t.
Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI, 3 t.
OPOWIADANIA CZECHOWA, 2 t.
Jerome Jerome. WŁOCZĘGA W TRÓJKE, 1 t.
Maurycy Barrès. POD PIKIELHAUBĄ, 1 t.
Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI, 2 t.
A. Kuprin. POJEDYNEK, 2 t.
Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM, 1 t.
Jerzy Rodenbach. DZWONNIK, 2 t.
Grazia Deledda. POPIOŁ, 2 t.
Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI, 1 t.
Henry Murger. SCENY Z ZYCIA CYGANERYI, 3 t.
E. Czirikow. NOWELE, 1 t.

Juliusz Zeyer. WIECZÓR U IDALII, 1 t.
Johan Bojer. MOC OPINII, powieść, 2 t.
Marion. MIRAZ, 3 t.
Conan Doyle. CZTEREJ, 1.
Tadeusz Jaroszyński. DWIE NOWELE, 1 t.
Conan Doyle. Z PRZYGÓD SHERLOCKA HOLMESA, 1 t.
Hermann Heijermans. W PRZESTRZENI, humoreska, 1 t.
Upton Sinclair. TRZĘSAWISKO, 4 t.
W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, 1 t.
Herman Heijermans. MIASTO DYAMENTÓW, 2 t.

Historia, Pamiętniki, Opowiadania historyczne i Podania ludowe.

Juliusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE, 2 t.
DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieverssa, 3 t.
NEUROZA REWOLUCYJNA, w. D-rów Cabanès i L. Nassa, 1 t.
Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA, 1 t.
Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH, 10 tomów.
J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI (komuna paryzka), 1 t.
PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisł. Augusta, 3 t.
Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r., 1 t.
Jerzy Kennan. SYBERYA, 4 t.
Pamiętniki Kasztelana Narcyza Olizara. Rok 1831. 2 t.
Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA, 3 t.
Bonawentura z Kochanowa. WINCENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNOW, 2 t.
Kajetan Koźmian. PAMIĘTNIKI, 6 t.
Juliusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, 3 t.
Aleksander L. Kielland. NAPOLEON I JEGO LUDZIE, 2 t.
Eugeniusz Checchi. GARIBALDI, 2 t.
Jędrzej Śniadecki. PISMA SATYRYCZNE, 3 t.
Louis E. Van Norman. POLSKA JAKO RYCERZ WŚRÓD NARODÓW, 1 t.

Opisy, Podróże i Studya popularno-naukowe.

Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNOW, 1 t.
Jerzy Grosjean. SZKOŁA I OJCZYŻNA, 1 t.
Ludwik Włodek. NA POŁNOCY I NA POŁUDNIU, 1 t.
T. Gruzewski (S. Topór). PANSTWOWOŚĆ ROSYJSKA, 1 t.
A. Kolb JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, 1 t.
Jan Błeszyński. MAROKKO, 1 t.
W. Gomulicki. OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, 1 t.
Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE, 1 t.
Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE, 2 t.
G. Sarrazin. WIELCY POeci ROMANTYCZNI POLSKI, 2 t.
Ryszard Jefferies. HISTORIA MOJEGO SERCA, 1 t.

I.

Rozmowa z bonzem.

Dop-Kao, dnia 2 września 1907 r.

Dop Kao, miasteczko Annamskie, w którym od roku przebywam wraz z moją żoną, Donią (Magdaleną), leży nad rzeką Song-Kao w Tonkinie, prowincji cesarstwa Annamskiego, znajdującego się obecnie pod protektorem Rzeczypospolitej Francuskiej.

Mieszkamy w potężnym domu, na wzgórzu, pokrytem mangami, goami, trakami i innymi azjatyckimi drzewami, nieznanymi w Europie. Przed naszym domem, prócz bambusów i bananów, ścięte się ogród warzywny; Donia pielęgnuje ananasy, sadzi kartofle, kapustę i groch; kilka dni temu zasiała pietruszkę, ale wróble, nasze polskie wróble, rozgrzebują nasienie z taką zajadłością, że co chwila trzeba je odstraszać. Z werandy, która okala dom, w celu łagodzenia blasku słonecznego, przedstawia

się wspaniały widok na obszerne pola ryżu, rycynusa i trzciny cukrowej. Zdała, na lewo, widać strzelające z zieleni białe, śpiczaste wieże Misyi katolickiej hiszpańskiej; w głębi horyzont zamyka pasmo gór miasteczka „Siedmiu pagód”, z po za których codziennie widzimy wschodzące słońce, które wy, w Warszawie, oglądacie dopiero w sześć godzin później.

Na zewnątrz, niebo pokryte chmurami, upał 35 stopni Celsjusza, upał wilgotny, przypominający atmosferę cieplarni. Słońce tonkińskie dla Europejczyków jest zabijające; wszyscy bez wyjątku są zmuszeni nosić grube, korkowe kaski, pokryte białym płótnem. W lecie (czerwiec, lipiec, sierpień) między 10 rano a 2 popołudniu, nawet w kasku, żaden Europejczyk nie ośmieli się wyjść w pole. Z powodu gorąca i wilgoci roślinność tutejsza jest tak bujna, że łodyga naszego grochu szablatego, który tu rośnie zimą i latem, zamienia się w drzewo grubości ręki, a odrastanie świeżo ściętego banana można obserwować gołym okiem.

Tonkin, przed Narodzeniem Chrystusa, był wielkiem państwem azyatyckiem. W epoce, kiedy Europa żyła jeszcze w dzikim stanie w lasach, Tonkińczycy posiadali już swoją historję i literaturę. Za panowania króla Le (w 40 roku przed Chrystusem), potęga Tonkinu doszła do najwyższych rozmiarów. Powoli jednak, z powodu ciągłych wojen z Chinami i Annamen, Tonkin upadł zupełnie i wreszcie w 1775 roku (po Chrystusie) cesarz annamski, Nguyen-Ahn zawojował go ostatecznie i przyłączył

do swego państwa. Obecnie Tonkińczycy mówią przeważnie językiem annamskim i zwyczajami nie wiele różnią się od swoich zdobywców. Język annamski jest uważany za najstarszy język świata. Generał francuski Frey dowodzi, że jest matką wszystkich języków, a wielu orientalistów zgadza się na to, że obecny język annamski jest ten sam, którym Egipcyanie rozmawiali między sobą na 5,000 lat przed Narodzeniem Chrystusa. I rzeczywiście, uczeni annamscy sami przyznają, że język ich nie uległ żadnej zmianie od paru tysięcy lat. Tak na przykład, najpiękniejszy poemat annamski Lue-van-Tien, napisany na dziesięć wieków przed Chrystusem, wcale nie różni się, pod względem języka, od dzieł nowoczesnych.

Wogóle studyując historję tego starego kraju, pokrytego mchem i roślinnością, kraju ropuch, szczurów, kruków i puszczyków, człowiekowi zdaje się, że stoi na ruinach jakiegoś odwiecznego zamku; samochcąc przenosi się myślą wstecz, na parę tysięcy lat przed Narodzeniem Chrystusa i widzi, że społeczeństwo Azji w swoim rozwoju przeszło przez te same fazy, co nasze, że, doszedłszy do maximum swego udoskonalenia, poczęło więdnąć i zasypiać, jak każdy człowiek. Czy odrodzi się z czasem? Być może Japonia go obudzi!..

Jeżeli, jak twierdzą niektórzy filozofowie, cywilizacya narodów postępuje od Wschodu na Zachód, to, na mocy tego wszechświatowego prawa, wyszedłszy z kolebki azyatyckiej i przepłynąwszy przez Rzym i Egipt do Europy, a następnie do

Ameryki, powinna, udoskonalona wiekami, powrócić, przez wrota Japonii do Azji...

W każdym razie dziś klasa inteligencji i szlachta annamska (mandaryni) nie wiele mają zaufania do cywilizacji—jak nas nazywają — „barbarzyńców Zachodu”. Przyzwyczajeni, dzięki nauce Buddy i Konfucjusza, do poszanowania spokojnego rodzinnego życia, rolnictwa, sztuk pięknych i literatury, oraz do pogardy tych, którzy mają za specjalność zabijanie ludzi, nie mogą zrozumieć, ażeby cywilizacja oparta na sile zbrojnej mogła być wyższą od cywilizacji azjatyckiej. To też dosyć chętnie jeżdżą na rowerach i w automobilach, zakładają koleje żelazne i zaprowadzają światło elektryczne, kupują nawet dla rozrywki aparaty fotograficzne i fonografy, ale, pod względem socyalnym stosują się skrupulatnie do praw swoich, uświęconych wiekami i nie ruszają się z miejsca.

Dziś, po południu, zaraz po obiedzie, mamy zamiar z Donią wyjechać na spacer w stronę „pagody męczarni piekielnych”, znajdującej się niedaleko od sąsiedniego miasta Bac-Ninh.

Od Dop-Kao do pagody prowadzi piękna, sze-roka aleja, wysadzona bzami japońskimi. Jedziemy tam konno. Donia jeździ po męsku. Koniki annamskie, malutkie, rodzaj poney, ale nadzwyczaj rączne, żywe i ogniste, pędzą jak strzały.

Wychodzimy z domu. Nasz *boy* (służący), nazwiskiem Nam-Thay-van-Nguyen-Duong, trzyma już nasze koniki osiodłane, które parszczą i grzebią kopytami z niecierpliwości. Przy wyjeździe dwa nasze psy: Koj-tot (po annamsku — dobry stróż)

i Menty (po chińsku — czarny) skaczą i szczekają z radości. Psy annamskie, z młodu, są podobne do niedźwiedzi, z wiekiem, przybierają formę wilków. Znakomici stróże. Siedzą w domu kamieniem i nikogo za nie w świecie nie wpuszczają. To też, odprowadziwszy nas kilka kroków, powracają natychmiast na swoje stanowiska. Annamici jedzą psie mięso; psy możebne do jedzenia posiadają języki z czarnymi plamami, Annamici tuczą je i sprzedają na targach jak prosiaki.

Nasz *boy*, młody 18-to letni chłopak, przedstawia prawdziwy typ Annamity: mały, szczupły, bez zarostu, cera żółtawa, ze skośnymi oczami i przypłaszczonym nosem; grube czarne włosy związane z tyłu w węzeł; chodzi boso, w szerokich pantalonach i Ké-a-o (rodzaj jedwabnej koszuli rozciętej z przodu), na głowie turban i śpiczasty komiecznej formy kapelusz z bambusu. Ma dwoje dzieci. Podług prawa annamskiego, mężczyźni mogą się żenić od lat 14-stu, kobiety od 12-tu. Wiek liczy się od przyjścia na świat, *plus*—dziewięć miesięcy przebytych w łonie matki.

Przed paru miesiącami naszemu *boyowi* umarła żona; zgodnie ze zwyczajem, nosi ubranie białe na znak żałoby (kolor biały jest kolorem smutku i żałoby w Azji wschodniej). Wczoraj prosił nas o urlop sześciodniowy: ma zamiar odkopać ciało zmarłej żony i zmienić pozycję trupa, gdyż od niejakiego czasu interesa jego źle idą; a jeżeli to nie pomoże, to na Nowy Rok (około naszego 12-go lutego) ofiaruje swemu ojcu, mieszkającemu w Bac-Ninh, pięknie rzeźbioną trumnę.

W Annamie, jak również w Chinach, dzieci uważają sobie za święty obowiązek ofiarować w prezencie rodzicom, jeszcze za życia, kosztowne trumny. Ten prezent, najwyższy dowód miłości synowskiej, jest zawsze mile widziany przez rodziców i stanowi najpiękniejszy ornament mieszkania.

Annamici wierzą w nieśmiertelność duszy. Wierzą, że dusze zmarłych krążą jeszcze przez długie lata po nad ciałem i w chwilach niezadowolenia, czy to z powodu niedogodnej pozycji ciała w grobie, czy też z powodu zapomnienia przez rodzinę, mszczą się i zsyłają rozmaite klęski na pozostałych żyjących. To też szacunek, bojaźń i cześć, oddawane zmarłym, przedstawiają jedyną, prawdziwie poważaną religię na całym Wschodzie. Położenie grobu i dzień śmierci są nadzwyczaj ważnymi kwestyami, od których zależą spokój i dobrobyt pozostałej rodziny. Bonzowie (kapłani) posiadają potężne kodeksa, traktujące o szczegółach owego położenia i o ceremoniach pogrzebowych.

Około 4-ej po południu przejeżdżamy małą rzeczkę Song-Thiep przez most kryty architektury chińskiej. Następnie, jeszcze z wiorstę jedziemy pyszną drogą, poczem, zostawiwszy nasze koniki we wsi Van-Phuc, *sampanem* (łódką) przepływamy na przeciwny brzeg rzeki Song-Kao, gdzie leży wieś Tho-Ha, sławna na cały Tonkin ze swoich wyrobów glinianych. W tej to właśnie wsi, prawie tuż nad brzegiem, znajduje się znana w okolicy „Pagoda męczarni piekielnych”—cel naszej wycieczki.

W każdej większej gminie (wsi), oprócz świątyni i ołtarzy zbudowanych dla uczczenia pamięci

zasłużonych zmarłych mężów gminu (w Annamie nie znają pomników), istnieją cztery pagody: Pagoda Buddy, pagoda Konfucjusza, pagoda świętego patrona wsi (ducha protektora) i pagoda wspólna, gdzie starszyzna wsi zbiera się na radę i która zastępuje nasz ratusz, albo biuro wójta gminy.

„Pagoda męczarni Tho-Ha” jest poprzedzona pagodą wspólną, która łączy się z plebanią, złożoną z domków zamieszkałych przez kapłanów i zakonników (bonzów). W głębi małe podwórko, ustrojone zielonością i kwiatami, rozdziela pagodę na dwie części: Na lewo, kaplica Buddy, na prawo—pagoda męczarni. Kaplica bardzo starannie utrzymana, błyszczy od złota i lakieru; dowód, że ludziska często tam przychodzą i często znoszą podarki na uproszenie łask wyższych. Pagoda męczarni, przeciwnie, jest nieco opuszczona; Annamici nie bardzo wierzą w piekło pośmiertne, tembardziej, że zgodnie z nauką Buddy, pobyt w piekle jest tylko czasowy: Bóg jest zbyt dobry, ażeby mógł patrzeć na męki swych dzieci przez wieki wieczne.

Przy wejściu do kaplicy wisi duży, miedziany *gong* (rodzaj płaskiego dzwonu) wydający dziwnie melancholijny, żalospny dźwięk, w który przechodnie, przed zaczęciem swej modlitwy, uderzają odpowiednim młotkiem, ażeby w ten sposób zwrócić na siebie uwagę siedzącego naprzeciwko Buddy.

Buddha jest cały złoty, co dowodzi pochodzenia czysto indyjskiego: Buddha biały i brzuchaty, siedzący na kwiecie lotosu, jest pochodzenia chińskiego. Przed Buddzą i nieco niżej, na ołtarzu, siedzi dwóch apostołów: Ui-to i Ui-ho, wielcy prote-

ktorowie kościoła buddhyjskiego. Na ołtarzu, przed samym Buddhą, stoi naczynie napelnione popiołami spalonych ofiar (z papieru) i w które modlący wstawiają zapalone pałeczki aromatyczne. Wreszcie, po obu stronach, dwie piękne brązowe wazy do palenia kadzidel. Naokoło ołtarza są ustawione rozmaite symboliczne, wyrzeźbione z drzewa przedmioty, jako to: ręka oznaczająca jałmużnę, latarnia oznaczająca sprawiedliwość, kwiat lotosu — symbol szczęścia, żółw — symbol długiego życia, księżyc — protektor miłości, szabla poświęcona generałowi, który wyswobodził Tonkin z pod jarzma chińskiego etc.

Pagoda męczarni zawiera pięć głównych grot, z których dwie boczne są zajęte przez rozmaite figurki, wysokie na stopę, wyrobione z drzewa lub kamienia i przedstawiające sceny męczarni piekielnych. Męczarnie straszniejsze, niż u nas. Niema wprawdzie ludzi gotujących się w smole, ale za to są ludzie, których czarne, żółte i czerwone rogaty dyabły przepiłowują na kawałki; ludzie, których słonie i bawoły trącają i depeczą nogami, którzy, będąc przywiązani łańcuchami do palmy, są obgryzani przez tygrysów i t. d. Każdy grzech znosi odpowiednią męczarnię, zgodnie z kodeksem, ułożonym w XII wieku po Chrystusie przez bonzów buddyjskich.

Grota centralna, położona naprzeciwko środkowego, wielkiego wejścia do pagody, zawiera ułożone z takichże figurek główne sceny z życia Buddhy, a ponad tem wszystkiem buja, zawieszona w obłokach, Kouan-Am, dziewica z dzieciątkiem na

ręku „matka opatrności” wyznawców Buddhy. Wreszcie dwie inne groty przedstawiają rozmaite sceny, wyjęte z historii kościoła buddhyjskiego. Reszta pagody jest ozdobiona mnóstwem siedzących bożyszczy, prawie naturalnej wielkości, przedstawiających dobrych i złych duchów, męczenników, apostołów, uczonych kapłanów i t. p.

Po obejrzeniu tych wszystkich cudów, ja udałem się do przełożonego bonzów na herbatę, a Donia zaczęła w cichości targować z gospodynią zakonników jednego z dyabłów, którego, pod sekretem, koniecznie chciała zabrać z sobą na pamiątkę.

Starszy bonz, siwiuteńki, z pomarszczoną paraginową twarzą, odziany w jedwabną, żółtą sutannę, wyszedł na moje spotkanie, trzymając w jednym ręku wachlarz, a drugą opierając na grubej bambusowej lasce. Po kilku ceremonialnych ukłonach, zaprosił mnie do swej skromnej, ponurej celi, w której, oprócz niskiego stołu, pokrytego rogożką, czajnika z herbatą, kilku mikroskopijnych filiżanek, bibuły do pisania, tuszu i pędzla, innego umeblowania nie było.

Z początku rozmowa toczyła się o przedmiotach potocznych, o pielgrzymce i ofiarach, jakie gmina Tho-Ha urządza na święta królewskiej pagody w Kao-Duong (rodzaj naszego odpustu), o wygórowanych podatkach protektoratu francuskiego, o biedzie ogólnej z tego powodu, którą odczuwają nawet zakonnicy i pagody i t. d. i t. d. Stopniowo przeszliśmy do kwestyi socyalnych. Wreszcie, widząc, że starowina w swoich dyskusjach technicznie coraz większą otwartością, zapytałem, czy czuje się

sześliwy ze stanowiska, jakie zajmuje? Pytając dodałem, że, będąc w Tonkinie przejazdem, człowiekiem z innego kraju i świata, z innej rasy i innego wyznania, nie mam możliwości zdradzenia jego poglądów, że widzę go po raz pierwszy i prawdopodobnie po raz ostatni w życiu i że pragnę wiedzieć szczerą prawdę, nie przez prostą ciekawość, lecz dla dopełnienia moich studyów nad ludźmi rozmaitych ras i wyznań. Starowina patrzył na mnie długo, w końcu, kiwając smutnie głową, rzekł:

— Życie nasze, ludzkie życie, jest złożone z kilku etapów, przez które prawie każdy człowiek przejść musi. Moje życie jest tem, co twoje, pomimo różnicy rasy i wyznania; jest tem, czem było życie twego ojca i czem będzie życie twojego dziecka. Różnica leży w szczegółach, ale ogólne charakterystyczne rysy są zawsze te same. Ja, obrałem karierę bonza dlatego, że karyera ta, wyidealizowana w mojej młodości wyobraźni, najwięcej przemawiała mi do serca.

„Byłem pełen zdrowia, ognia, energii, zdolny do łamania wszelkich przeszkód dla dopięcia celu, rwałem się do walki życiowej z odwagą i zapałem, bo byłem młody i przez to, pewien zwycięstwa! Z czasem jednak, ta pierwsza błoga epoka przyjęła inną fazę: W walce mojej mianowicie spotkałem nieprzyjaciela, którego przedtem prawie nie znałem i którego siła przewyższała wszystko to, co młodość i imaginacja mogła sobie wyobrazić — spotkałem się z egoizmem ludzkim i niesprawiedliwością.

„To też moja pewność zwycięstwa zaczęła gwałtem słabnąć, niknąć, i w końcu ustąpiła miejsca dru-

giej epoce, epoce zawodów i nadziei, którymi oddychałem naprzemian przez długie lata. Następnie, powoli, powoli nadpłynęła trzecia, najboleśniejsza epoka, epoka zwątpienia. Wszystkie dogmaty, wszystkie prawdy, które serce drgało i które służyły mi za podporę moralną, zamieniły się nagle w znaki zapytania.

„Utraciłem ufność do ludzi, do siebie samego; nie mając wiary w przyszłość, broniłem się bez energii, a fortuna, widząc moją słabość, odwróciła się ze wstrętem odemnie. Zwyciężony, poraniony, odarty z iluzji, wlokłem się, jak mogłem, aż do szczytu tego etapu, to jest do zupełnego rozczarowania. Tam dopiero spostrzegłem, że się omylił, że wybrał fałszywą drogę, fałszywą karierę i że brak mi dostatecznie sił, ażeby mózg zacząć coś innego. Na każde moje nowe wyteżenie świat odpowiadał z politowaniem: „zapóźno“, Rozpacz ogarnęła mnie całego, chciałem się zabić. Po chwili jednak, patrząc wokół, zauważyłem, że na tym szczycie niejestem sam jeden, że wszyscy, którzy doszli do owego punktu, a są ich miliony, znajdują się w tem-że samem położeniu. Wszyscy oddychali zniechęceniem i niezadowoleniem. Wówczas, widząc tę ogólną nędzę, pogodziłem się z losem i zacząłem ostatnią epokę, epokę rezygnacyi, w której, jako konwalescent, zostanę do końca życia!

„Otóż, szczęśliwym nie jestem, ale ty również nie jesteś szczęśliwy, bo nikt nie jest szczęśliwy, bo to słowo: *szczęśliwy*, ludzie wymyślili dla określenia pozornego szczęścia u innych, ażeby mózg powiedzieć: „Jaki on szczęśliwy“! Ale on nie przy-

zna się do tego szczęścia, jeżeli nie chce być kłamacą, bo szczęście nie jest stanem, szczęście jest jedną, przelotną chwilą! Chwilą, w której osiągamy zrealizowanie naszych marzeń. Zaraz bowiem później, zdobyte szczęście traci swą doniosłość, nowe horyzonty, nowe pragnienia i dążenia zagłuszają osiągnięte zwycięstwo i pierwotne szczęście zamienia się w stan normalny, we wspomnienie, w banalny fakt. I tak wciąż dalej, i dalej przez całe życie! To nie przeszkadza, że potęga jednej szczęśliwej chwili jest tak silną, iż pozwala zapomnieć nieraz o całym pasmie przykrości długoletniej walki oraz łagodzi cierpienia na długie lata na przyszłość.

„Nikt nie ma prawa powiedzieć, że *zawsze* był szczęśliwy, albo *zawsze* nieszczęśliwy, bo chwile szczęścia, jak nieszczęścia spadają na nas naprzemiennie, jak ptaki, stadami, zgodnie z prawem wiekistym natury, które rządzi jednostką. Nigdy więc nie powinniśmy upadać na duchu w epoce niepowodzeń, lecz, pracując cierpliwie, oczekiwać jasnego promienia, który z pewnością zaświeci nam musi. Tembardziej, że niema w życiu takich zdarzeń, które byłyby powodem kompletnej ruiny: wszystko się z czasem klaruje i urządza, bo wszystko tu jest przejściowe i względne, wszystko zależy od chwili, okoliczności i osoby. U was powiadają, że życie — to teatr, w którym każdy człowiek jest naprzemiennie aktorem lub spektatorem. U nas twierdzą, że ludzkość to biblioteka, w której każdy człowiek przedstawia jakieś dzieło: tak na przykład, bankier jest dziełem traktującym o finansach; rzeźbiarz, dziełem traktującym o sztukach pięknych i t. p. Każde po-

kolenie stanowi nową, poprawną edycję tej wielkiej biblioteki. I tak, jak bibliotekarz, który układa książki pewnej treści na jednej i tej samej półce, tak samo los gromadzi ludzi jednej i tej samej treści w pewne kółka, towarzystwa i kasty. Często też rzeźbiarz, czytając dzieło o finansach, nie może go dokładnie zrozumieć, tak, jak bankier nie może zrozumieć poety.

„To, co dla jednego jest śmiertelną kompromitacją, w oczach drugiego wydaje się prostą śmiesznością. Czyn wzniosły w oczach żołnierza, często zasługuje na politowanie tylko w oczach kapłana, a nawet jeden i ten sam fakt, posiadający wielką wagę w danej chwili, traci nieraz zupełną wartość po kilku dniach. *Wszystko to dowodzi, że jedyną nieomylną drogą, prowadzącą do stanu Nirwana (wieczne pozagrobowe szczęście) jest droga absolutnej obojętności w sprawach osobistych.*

— Pragnąc jednak żyć, zgodnie z nauką Buddhy, wyłącznie dla innych, potrzeba głęboko wierzyć w istnienie pozagrobowego życia — wtrąciłem nieco zamyśloni.

— Ja wierzę w to życie! — odpowiedział kategorycznie starzec.

I w tejże chwili oczy jego zabłysły dziwnym ogniem.

— Wierzę — ciągnął dalej — najpierw dlatego, że jeszcze na parę set lat przed Narodzeniem Buddhy (Buddha urodził się w 523 roku przed Chrystusem) Bóg indyjski, Brahma, nauczał (w Indjach istniało i istnieje jeszcze w wielu prowincjach bóstwo nijakiego rodzaju w trzech osobach: bóg

Brahma—twórca światów, bóg Wisznu, zachowawca światów i Bóg Siwa, niszczyciel światów) a Mistrz nasz potwierdził, „że nie ginie w naturze; żaden pierwiastek, żaden atom nie może zniknąć bez śladu. Wreszcie, wasi uczeni stwierdzili naukowo ten aksjomat w stosunku do świata [materyalnego. Dowiedzionem jest, że ciała najpiękniejszej królowy i wstrętnego nędzarza rozkładają się po śmierci w jednakowy sposób i, obracając się w ziemię, z której są wzięte, tracą swą indywidualność. Otóż dusza, złożona z myśli, z idei i z uczuć, powinna podlegać tym samym prawom. Te myśli, idee i uczucia istnieją, przeto nie mogą zniknąć bez śladu. Dusza mędrca i dusza idyoty, po śmierci fizycznej, przerabiają się, również jak ciało, w jednakowy sposób i, obracając się w świat dotychczas niewidzialny, podobnie tracą indywidualność“.

„Taka była nauka Brahmy.

„Nasz mistrz, Buddha, który zgłębił naturę ludzką silniej, niż apostołowie Brahmy, zrozumiał, że, obdzierając człowieka z indywidualności po śmierci, zabija w nim wszelkie chęci do dobrych czynów za życia, utrzymał więc tę indywidualność, twierdząc, że, jak po śmierci ciała pozostają kości, które tysiące lat mogą zachować swą formę, nie łącząc się z ziemią, tak również dusza, *dzięki pamięci*, zachowuje swoją indywidualność w świecie niewidzialnym.

Ja wierzę w naukę Buddy“!

— Władek, co ty tam tak długo robisz? — krzyknęła naraz moja Donia.

Widząc, że już jest późno, pożegnałem ser-

decznie starowinę i, powróciwszy do Doni, przepłynęliśmy na przeciwny brzeg Song-Kao, gdzie, wsiadłszy na nasze koniki, ruszyliśmy ostatecznie ku domowi.

— No, co ci ten bonz tam tak opowiadał? — zapytała po jakimś czasie Donia.

— Moje [ukochanie — odpowiedziałem — stary bonz bął bardzo długo. „En resumé“ powiedział, że nie warto się martwić, że wszystkie nasze zmartwienia i kłopoty zależą od pompy, od tego, czem i z jaką siłą napompujemy sobie naszą głowę i serce. Że dla usunięcia zmartwienia, najradzykalniejszym środkiem jest zmienić pompę, to jest, starać się napompować głowę i serce inną materią.

— Bardzo dowcipnie — odrzekła praktyczna Donia— a czy ci nie pokazał, przypadkiem, żółtego dyabła?

— Nie — odpowiedziałem nieco zaintrygowany.— A dlaczego?

— A no, to patrz!

I śmiejąc się wychyliła ze swego woreczka głowę żółtego, obrzydliwego dyabła, którego wytargowała od gospodyni bonzów za 2 dolary.

O 7-ej wieczorem byliśmy w domu.

Religia Dalekiego Wschodu.

Ke-Taj, dnia 25 września 1907 r.

Przyjechałem tu przed kilkoma dniami z moim pułkiem na manewra i na ćwiczenie w strzelaniu.

Biblioteka. — T. 572.

Ke-Taj jest obszernym klasztorem anamskich bonzów z piękną pagodą, okrażoną górami, ze szczytów, których widać zdala Dap-Kao, Bac-Ninh i inne okoliczne miejscowości.

Godzina pierwsza po południu. Gorąco! Cały pułk śpi, odbywa siestę i odpoczywa, oczekując godziny 4-ej, ażeby móżdż, przy znośniejszej temperaturze, dalej prowadzić strzelanie. Cisza i spokój. Moja Donia (żona), przechadza się po ogrodzie i ogląda ocienione stuletnimi drzewami groby bonzów (zakonników), a ja, siedząc na ławie, piszę do Was na ołtarzu. Naprzeciw, gruby, opasły Buddha patrzy na mnie z dobrotliwym uśmiechem.

Groby bonzów, pewnej określonej, tradycyjnej formy, są ustawione w rzędy, jak groby naszych cmentarzy. Wspaniałość architektury innych grobów annamskich, zależy od wielkości społecznego stanowiska zmarłych, a groby zwyczajnych śmiertelników, mają formę kopców, usypanych z ziemi.

Takie kopce spotyka się prawie co chwila: przy steczkach w polu, w lesie, w ogrodach, wszędzie! Annamici nie znają naszych cmentarzy. Każdy bywa pochowany tam, gdzie sobie życzy, najczęściej, na własnym polu lub około własnej chaty.

Groby zmarłych na Wschodzie są w najwyższym poszanowaniu. Niektóre istnieją od paru set lat i nikt nie ośmieli się ich zaorać lub sprofanować w jakikolwiek sposób. W rocznice śmierci, krewni zbierają się u ołtarza przodków (w każdej wsi istnieje taki ołtarz), dla składania ofiar i obchodzenia rocznicy zmarłego ojca rodziny.

W tym celu czarownicy (taoiści), wraz z obec-

nymi, udają się najpierw na grób przodka z zaproszeniem, ażeby raczył przyjąć udział w wyprawianej na jego cześć uczcie. Najdostojniejsze miejsce przy stole (od strony Wschodu), jest zawsze przeznaczone dla ducha zmarłego. Podczas uczty najstarszy syn, przedstawiciel rodziny, zwraca się od czasu do czasu, do wyimaginowanego ducha i przedstawia mu położenie, oraz plany i projekty rodziny, prosząc go o łaskawą protekcję. Po uczcie biesiadnicy składają podziękowanie duchowi za zaszczyt, jaki im okazał swoją obecnością i znowu z wielką pompą odprowadzają ducha do miejsca wiecznego spoczynku.

Najstarszy syn po zmarłym ojcu, w dowód żałoby niema prawa zarabiać na własne utrzymanie przez trzy lata i zmuszony jest opuścić nawet najpiękniejsze stanowisko i żyć albo utrzymywany przez resztę rodziny, albo oproszonym chlebem.

Najboleśniejsza kara dla Azyaty jest: być pochowanym na obcej ziemi!

Wszystkie dogmaty i zabobony, dotyczące zmarłych, oraz rozmaite ceremonie pogrzebowe są zawarte w księgach Feng-Chui, (wymawiaj Fing Czuj), które były ułożone przez chińskich doktorów filozofii wkrótce po śmierci Konfucjusza.

Teraźniejsze wyznania dalekiego Wschodu można podzielić na cztery główne grupy:

a) Taoizm b) Nauka Konfucjusza, c) Feng-Chui i d) Buddyzm.

Taoizm.

Taoizm pochodzi od słowa chińskiego *tao*, co oznacza drogą, prostą drogą, drogą rozumu.

Nauka taoizmu była wygłoszona poraz pierwszy przez chińskiego filozofa Laotse, na 53 lata przed Konfucyuszem, t. j. na 604 lata przed Narodzeniem Chrystusa.

Z dogmatami taoizmu zaznajomiłem się podczas mego pobytu w Pekinie, w 1900 ym roku. Jeden z astronomów chińskich, mandaryn Suang-Zu, do którego chodziłem od czasu do czasu na herbatę, był wielkim admiratorem Laotse i gorliwym taoistą.

— Nasz filozof—mówił Suang-Zu—wierzył:

1) Że wszystko tu pod słońcem dąży do pewnego ideału, do udoskonalenia.

2) Że każda istota żyjąca, doszedłszy do szczytu swego udoskonalenia, więdnie i umiera.

3) Że to bezprzesłanne dążenie do udoskonalenia, które kończy się fatalnie śmiercią, jest *prawem natury*. Że prawo to jest nieomyślne dla wszystkich: dla robaka i dla ludzkości.

4) Że wszędzie, gdzie jest życie, jest dusza. Że dusza rośliny jest mniej udoskonalona, niż dusza ptaka; że dusza ptaka jest mniej udoskonalona, niż dusza człowieka i że moja dusza jest więcej oddalona od ziemskiego ideału, niż dusza moich mistrzów: Laotse i Konfucjusza.

5) Że dusza jest wieczna i nieśmiertelna, t. j.

że żyje już od tysięcy, tysięcy lat i żyć będzie jeszcze miliony, miliony.

6) Że prawo natury nie uznaje ani piekła, ani nieba, bo dusze ziemskie zostają zawsze przy ziemi, tak samo jak dusze wszystkich tych, którzy żyją na innych planetach.

7) Że w chwili, w której jedno życie znika, drugie życie się pojawia, tak, że śmierć i narodzenie są jednym i tym samym faktem, tylko w różnych ciałach. Śmierć pewnego ciała jest zarazem narodzeniem innego ciała, gdyż dusza jest wieczna i nieśmiertelna i, zgodnie z uniwersalnym prawem ciągłego udoskonalania się, zawsze przechodzi z niższej istoty do wyższej.

8) Mylą się ci, którzy marzą, że po śmierci spotkają się z ukochanymi osobami, znikłymi oddawna, bo tak śmierć, jak narodzenie są zapomnieniem całej naszej przeszłości: dusza nasza istnieje od tysięcy, tysięcy lat, a jednak nie pamiętamy, gdzie byliśmy dwa wieki temu?

9) Nie wiercie ani w traf, ani w wypadek, gdyż wszystko na świecie odbywa się na mocy niezliczonych praw natury: słońce wschodzi, człowiek wygrywa na loteryi, koń łamie nogę, na mocy prawa. Nauka odkryła już kilka praw fizycznych i filozofowie — kilka praw moralnych, ale jedna i druga są jeszcze w kolebce.

10) Dwie siły moralne rządzą światem: Miłość i Cierpienie. Bez nich nie byłoby życia, nie byłoby świata! Nikt nie może żyć bez miłości! Każda istota musi kochać, ażeby cierpieć!

11) Na podstawie tych dwóch sił wyrasta

nowa siła, która dziś jeszcze zaledwie jest w zarodku. Jest to siła poczucia sprawiedliwości. Przyjdzie jednak epoka, że siła ta stanie się najpotężniejszą siłą świata, konieczną do życia ludzi, tak jak sen i pożywienie, a wówczas ludzkość cała będzie bliską szczytu swego udoskonalenia: Cierpienia znikną i ludzkość umrze, a dusza ziemi przeniesie się na inną planetę, która nie zna lez.

12) Kochajcie się więc i dążcie do sprawiedliwości, ażeby wytworzyć miłość bez cierpień, gdyż to jest jedyna droga, zgodna z prawem natury, która prowadzi do wiecznych rozkoszy!...

Oto *credo* taoizmu, a przynajmniej ja go w ten sposób pojąłem z wykładu mego astronoma.

— Na nieszczęście—ciągnął dalej Suong Zu—pierwsi apostołowie Laotse nie dosyć byli wykształceni, ażeby zrozumieć doniosłość tych idei, i przez gorliwość wpadli w wielki błąd: Pragnąc dostarczyć duszy więcej czasu do udoskonalenia się, powzięli zamiar przedłużyć życie, unieśmiertelnić ciała! Wszyscy więc rzucili się do pracy w celu odkrycia eliksiru, pozwalającego przedłużyć życie, tak, że w kilkadziesiąt lat później, apostołowie taoizmu zamienili się w medyków, alchemików, astrologów, magików i czarodziei. I dziś z pierwotnej nauki Laotse pozostały tylko zabobony, magia i wiele śmiesznych ceremonii, nie mających najmniejszego związku z jego ideami.

Obecnie, kapłani taoizmu, którzy poprzysięgli celibat, eksploatują pospólstwo, sprzedając prostym ludziom rozmaite amulety i odpusty drukowane na czerwonym i zielonym papierze, ale klasa intelektu-

alna uważa ich za szarlatanów. Pomimo tego nasz cesarz, syn nieba, który, zgodnie z uprzejmością chińską, pragnie być w dobrych stosunkach z bogami wszystkich religii, wypłaca ojcu taoistów stałą roczną pensję, a nawet zobowiązuje mandarynów do przyjmowania udziału w niektórych oficjalnych ceremoniach taoistycznych.

II.

Nauka Konfucjusza.

Nauka Konfucjusza jest wyznawana przez wszystkich [mandarynów Chin, Annamu, Birmanii i Siamu.

Konfucjusz, sławny filozof i historyk chiński, a prawidłowo Khung-Fu-Tseu, co oznacza dosłownie mandaryn doktor Khung, urodził się 551 roku przed Narodzeniem Chrystusa w dawnym królestwie Lu.

Ojciec jego, Chu-Liang-Ho, był gubernatorem i pochodził z bardzo starej rodziny Khung'ów, która stworzyła panujący dom chiński Tseu, w 1134 r. przed Chrystusem.

Konfucjusz, będąc jeszcze młodzieńcem, odznaczał się wielką inteligencją i uczciwością, tak że król państwa Lu nie zawahał się ofiarować mu wysokiego stanowiska przy dworze. Wkrótce jednak młody dygnitarz prosił o zwolnienie ze swych funkcji, pragnąc w zupełności poświęcić się filozofii i edukacji narodów, jak również i władców. Z całym zapalem rzucił się do głębokiego studyowania ksiąg kanonicznych Kings, oraz sztuk wyzwolonych

mianowicie: muzyki, kaligrafii, edukacji, fechtunku, arytmetyki i prowadzenia wozu.

W parę lat później, królowie podzielonych wówczas Chin zaczęli zastanawiać się nad wysoką doniosłością rad młodego mędrca, który nauczał sztuki panowania bez utraty miłości poddanych.

Pomimo jednak ogromnej sławy, idee Konfucjusza rozwijały się z początku bardzo wolno. Prześladowany przez kapłanów taoistycznych, zmuszony był nawet porzucić kraj. Straciwszy na obczyźnie żonę, syna i swego najwierniejszego ucznia Sen-Hoei, Konfucjusz powrócił na ziemię ojczystą, gdzie zakończył życie w 479 roku przed Nar. Chrystusa, przeżywszy lat 73.

Obecnie, w Azji, Konfucjusz jest uważany, jako jedyny człowiek, zasługujący na hold, oddawany Bogu. Kilkanaście tysięcy świątyń i ołtarzy zbudowano na jego cześć i w każdej gminie istnieje jego grób symboliczny.

Głębokie rady Konfucjusza, rozprzestrzenione na całym Wschodzie, stały się podstawą teraźniejszej cywilizacji chińskiej i regułą polityczną dla wszystkich panujących domów w Chinach.

W epoce, gdy cesarz chiński Hoangti kazał spalić „Roczniki“ Konfucjusza, 460 mandarynów rzuciło się w ogień, ażeby zginąć w płomieniach razem z tem arcydziełem.

Za panowania cesarza chińskiego Mingh, Konfucjusz został oficjalnie uznany jako najświętszy, najrozumniejszy i najenotliwszy moralista ludzkości.

Nauka Konfucjusza, nie robiąc żadnej wzmian-

ki o pozagrobowym życiu, jest oparta przeważnie na miłości synowskiej i na szacunku bliźniego.

Cesarz chiński Kanghi zredukował kodeks Konfucjusza do 16 przykazań, z których pierwsze brzmi w ten sposób:

„Szczuj przodków, kochaj rodzinę i pomagaj bliźniemu swemu.

Inne przykazania określają ze szczegółami obowiązki ojca względem dzieci, króla względem poddanych, męża względem żony, starca względem młodzieży, przyjaciela względem przyjaciela i t. d.

„Małżeństwo — powiedział Konfucjusz — jest związkiem dwóch wzajemnie sobie sympatycznych osób, pochodzących z różnych rodzin, które mają za obowiązek przedłużenia generacji w celu czczenia nieba, ziemi i przodków“.

Od tego prawie bezgranicznego szacunku dla rodziców i przodków, Chińczycy i Annamici przeszli w bardzo naturalny sposób do wielkiego poszanowania tego wszystkiego, co było stworzone przez tych przodków i do sprzeciwiania się wszelkim reformom społecznym, pochodzącym z Zachodu. Nie więc dziwnego, że Chiny i Annam od 2000 lat nie zrobiły na tej drodze żadnego postępu.

Wszystkie dzieła Konfucjusza, jako to:

„Roczniki“, „Ta - Hio“ (głębokie studium), „Lun-Ju“ (dIALOGI moralne) i „Tchung-Jung“ (utrzymanie środka), tezną niezmierną miłością dla ludzkości.

Podług niego, bóg chiński „Szang-Ti“ i inni bogowie, czezeni przez naród, są poprostu esencją

intelektualną najstarszych przodków chińskich i wcale nie należą do istot nadnaturalnych.

I w rzeczywistości, teraźniejszy bóg oficjalny chiński „Szang-Ti“, którego mandaryni nazywają wszechmocnym stwórcą nieba i ziemi, dosłownie oznacza „pierwszy cesarz“. Najstarsze księgi historyczne chińskie, mianowicie: „Chu-King“, „Li-Ki“ i „Chi-Ki“, wspominają o jego panowaniu.

Bóg ten, ze względu na swoje niezliczone i bezgraniczne własności, nie mogąc być przedstawiony przez jakiekolwiek bożyszcze, obecność swoją, we wszystkich świątyniach chińskich, przypomina wiernym przez dużą tablicę, na której są wyryte tylko te dwie sylaby: „Szang-Ti“, to jest Bóg.

III.

Feng Chuï (wymawiaj „Fing-Czuj“).

Mądry i praktyczny kodeks Konfucjusza, który wzbudził ogólną admirację inteligencji chińskiej, był zanadto suchy i zbyt ziemski, ażeby zadowolnić imaginację prostego narodu, szukającego wszędzie i zawsze czegoś nadnaturalnego, szczególnie na punkcie pozagrobowego życia i czczenia zmarłych przodków. Lud prosty i niewykształcony, w Azji, wcale nie zna imienia Konfucjusza!

Dla zapełnienia tego braku, filozofowie chińscy stworzyli Feng-Chuï.

Otóż Feng-Chuï we wschodniej Azji jest re-

ligią popularną, która, oprócz oficjalnych przepisów i obrządków, zawiera jeszcze mnóstwo innych ceremonii, opartych na zabobonach, tradycjach i zwyczajach narodowych.

Zgodnie z nauką niektórych uczonych chińskich, założycieli religii Feng-Chuï, dwa pierwiastki rządzą światem: Pierwiastek męski (Yang), reprezentowany przez słońce, dzień, ciepło, radość i życie, i pierwiastek żeński (Yin), reprezentowany przez księżyc, noc, zimno, smutek i śmierć. Obydwie te siły, chociaż rozdzielone, nie są sobie wrogie. Przeciwnie, nie może istnieć na świecie bez ich połączenia. Wieczna mieszanina tych dwóch pierwiastków wytwarza właśnie życie, wzrost, przybytek i pomnażanie się. I ten, który ich funkcyj zbada dokładnie, staje się, przez to samo, nieśmiertelnym.

Podług tychże uczonych, człowiek posiada trzy dusze: duszę umysłową, zawartą w głowie, duszę namiętności, zawartą w sercu i duszę ciała, zawartą w podbrzuszu.

Po śmierci człowieka pierwszą z tych dusz można, przy pomocy rozmaitych czarodziejskich sposobów, schwycić i na zawsze uwięzić na „tabliczce pamiątkowej“. Tabliczka pamiątkowa, zrobiona z twardego drzewa, zawiera wyrytą w krótkości biografią zmarłego. Tabliczka ta przechowuje się z wielkim poszanowaniem w rodzinie i przechodzi z pokolenia na pokolenie. Tak, że dzięki tym tabliczkom, każdy wieśniak może powiedzieć, jakich miał przodków i jakie oni zasługi położyli dla kraju przed 300, 400 lub więcej laty.

Druga dusza, za sprawą pewnych przepisanych

obrzędów, może podobnie być schwycona i zatrzymana na zawsze w grobie zmarłego. Ale trzecia dusza jest niedostępna; ulata w bezgraniczną przestrzeń, oczekując sposobności, ażeby mózg znowu zamieszkać w jakimś nowem ciele.

Ta ostatnia dusza najczęściej krąży koło domu i jeżeli pozostawione przez nią ciało jest źle pielęgnowane, zapomniane, lub leży w złej pozycji, to mści się na rodzinie, zsyłając na nią rozmaite zmartwienia, niesnaski, a nawet nieszczęścia. Najniebezpieczniejsze są dusze małych dzieci, gdyż, będąc niedostatecznie rozwinięte, błądzą po świecie wiecznie rozgrymaszone i często wpadają nawet do obcych domów, przez co przynoszą kłótnie i niepowodzenia innym rodzinom. Jedyne ratunek, ażeby odstraszyć tych nieproszonych gości, jest zapalenie przed drzwiami mieszkania pałeczki, zrobionej z kadzideł aromatycznych, których tlenie się jest wstrętne dla dusz dziecinnych. To też często w Chinach i w Annamie, szczególnie przed domami kupieckimi, spotykać można takie palące się pałeczki, co jest dowodem, że od niejakiegoś czasu interesa handlowe źle idą, albo są kłótnie i niesnaski w domu.

Ze wszystkich bogów, duchów i geniuszów religii Feng-Chui najwięcej znany i najstraszniejszy jest smok („Dragon”). Smok istnieje wszędzie: w powietrzu, w wodzie, na ziemi i pod ziemią. Ale najlepiej lubi siedzieć w wodzie. W Chinach sprzedają się mapy topograficzne, na których są dokładnie oznaczone miejscowości, gdzie smok kryje się pod ziemią i nikt nie ośmieli się do takich miejsc zbliżyć. Inżynierowie francuscy, którzy budowali ko-

lej żelazną przez jedną z takich miejscowości, nie mogli w Chinach wcale znaleźć robotników.

Prawdziwy smok wygląda strasznie: ma rogi jelenia, oczy królika, szyję węża, łuskę karpia, łapy tygrysa, pazury jastrzębia, ogromną paszczę, z której bucha ogień, potężne wąsy i brodę zawierającą na końcu drogocenną perłę. Rzadko kiedy ukazuje się w całości, ale ukazanie jego nawet częściowe jest zawsze uważane jako przepowiednia wielkich nieszczęść.

Wszystkie sztandary chińskie i annamskie są ozdobione smokiem z czterema pazurami, a cesarskie lub królewskie z pięcioma pazurami. Kolor panującego domu jest złoto-żółty, a kolor narodowy annamski — pomarańczowy. Kolor biały jest oznaką żałoby, a kolor czerwony oznaką wesela i radości.

IV.

Buddyzm.

Są ludzie, którzy myślą, że Buddha jest imię własne, imię twórcy buddyzmu. Wielki błąd. Słowo „buddha” oznacza poprostu „mędrzec”. Fundator zaś buddyzmu nazywał się Gotama Sid-dharta i pochodził z książęcej rodziny. W swoim kraju (Indyach) był on więcej znany pod przezwiskiem *Sakiasmuni*, co oznacza „pustelnik z Sakias”, dlatego, że Gotama często dla rozmyślań oddalał się do miejscowości, zamieszkałej przez szereg indyjski Sakias. Naród i uczniowie Gotamy nazywali go

w skróceniu „mędreem”, to jest buddhą, stąd naukę jego Europejczycy nazwali „buddyzmem”.

Buddyzm počzął się rozwijać na 500 lat mniej więcej przed Narodzeniem Chrystusa i miał na celu zniszczenie szarlatanizmu kapłanów Brahmy.

Obecnie buddyzm jest najwięcej rozpowszechnioną religią w Azji i posiada przeszło 500 milionów wyznawców.

Pierwotne zasady buddyzmu są nadzwyczaj proste: Gotama nauczał, że życie ludzkie jest ciąglem pasmem cierpień i że powodem tych cierpień są nasze namiętności; chcąc więc zmniejszyć siłę cierpień, człowiek powinien panować nad swymi namiętnościami; że jedynym środkiem dopięcia tego celu jest zupełna abstrakcja swego „ja” i że ten, który dopnie owego celu, zdobędzie zarazem stan wiecznego szczęścia, nazwany „Nirwana”.

Wiadomo, że religia chrześcijańska posiada dziś bardzo dużo odcieni, jako to: kościół rzymskokatolicki, unicki, prawosławny, luterński, anglikański, kalwinistów etc. Otóż religia buddyjska podobnie, dzięki kapłanom, wytworzyła bardzo wiele sekt i odcieni. Nie będę tu podawał długich i nudnych nazwisk tych sekt, to tylko dodam, że terazniejsi bonzowie nie szczycą się wielką sympatją u narodu, z powodu celibatu, który, paręset lat temu, zaprzysięgli, jako konieczny warunek kapłaństwa, a który, wogóle, w całej Azji, jest bardzo źle uważany. To też często, dla odprawiania różnych ceremonii, naród chętniej zwraca się do swoich mandarynów, niż do bonzów i dziś do zakonu wstępują tylko sieroty i ludzie bez dachu i rodziny.

Najwięcej rozpowszechniona kasta jest kasta indyjska, która tworzy dwa obozy: Hinayana i Mahayana. Ta ostatnia w Annamie i w Chinach dzieli się na wiele sekt, mianowicie: Sekta Tien-Taj, sekta Yoga, sekta Miłosierdzia, sekta Pokutników, sekta lotosu i t. d.

Hinayana i Mahayana wierzą, że dusza ludzka dąży do udoskonalenia.

Najniżej stoją dusze potępieńców, którzy za swoje grzechy są skazani po śmierci na straszne męki w piekle, jak u chrześcijan, z tą tylko różnicą, że buddyzm nie uznaje *wiecznego* piekła: potępieńcy, po odpokutowaniu, powracają na ziemię i dusze ich wstępują w ciała „ziemskich potworów”. Dusze potworów przechodzą następnie w ciała różnych „zwierząt”, potem, w ciała „ludzi”. Dusze złych ludzi mogą znowu powrócić w ciała zwierząt, a dusze dobrych powracają na ziemię w lepszych warunkach, gdzie stopniowo udoskonalają się. Dusze najwięcej udoskonalonych stają się „geniuszami”. Dusze geniuszów stają się „bogami”, z których najwięcej zasłużeni przechodzą do stanu „Nirwana”, t. j. do wiecznego szczęścia. Nirwana posiada także swoją gradacyę, odpowiednią do doskonałości.

Oprócz tego, wyznawcy Hinayana mają swego arcypiękłę — Dalaj-Lama, którego pałac, kąpiący złotem, znany pod nazwą pałacu Potala, znajduje się w Tybecie, w okolicy Lhassa, na górze Budha-La.

Większa połowa bożyszcza buddyzmu posiada aureolę na około głowy, tak, jak nasi święci.

Istnieje sekta, której jeden z dobrych duchów jest przedstawiony w postaci gołębia. Oprócz tego, w wszystkich świątyniach znajduje się bogini Kuan-An, dziewica Miłosierdzia i opatrności, która zwykle trzyma małe dzieciątko na rękach.

Do modlitwy buddhyści składają ręce, jak u nas.

Buddhyjscy kapłani utworzyli także 4 dni odpoczynku na miesiąc, zwane „upozatha”. W każdą upozatha wierni powinni się wstrzymać od wszelkiej pracy, odziać się w świąteczne szaty i iść do świątyni na kazanie i na ceremonie, powtarzając w pokorze i cichości trzy razy wyznanie wiary i przykazania buddhyskie.

Kościół buddhyski posiada podobnie swoich świętych, swoich zakonników, hierarchią kapłańską, swoje misye, cuda, relikwie i posty, swoje ceremonie poranne i wieczorne, podczas których palą świece i utrzymują wieczny ogień w olejnych lampach. Na kazaniach świątecznych bonzowie nauczają o miłości bliźniego i istot żyjących, o wzgardzie dla życia światowego, o adoracji „pana naszego najświętszego” (Buddhy) i t. d. i t. d. Ale nauczają także o jałmużnie, którą winniśmy dawać „zwierzętom”, o niebie i piekle czasowem, o powrocie po śmierci na ziemię i t. p.

Przejeżdżając przez miasto Kolombo na wyspie Ceylon, miałem sposobność usłyszeć kazanie jednego z tamtejszych bonzów w świątyni buddhyskiej. Oto urywek z tego kazania:

„Kochani bracia! Pamiętajcie o tem, że życie wasze tu na ziemi nie jest prawdziwem życiem,

że ono jest tylko małą cząsteczką waszej uniwersalnej egzystencji. Kochajcie się więc i nie róbcie złego żyjącym istotom, nie szukajcie zemsty, nie odpowiadajcie nienawiścią na nienawiść, jeżeli pragniecie, żeby nienawiść znikła z ziemi; bądźcie słodcy i mówcie zawsze z dobrocią, rozmyślajcie w cichości o miłosierdziu i świętości naszego mistrza! Pamiętajcie, że od waszych obecnych czynów zależeć będzie wasza przyszłość: albo tu na ziemi, w innem ciele, owianem pięknnością, zdrowiem, dobrobytem, ukochaniem przez ludzi i fortuną, albo w ciele wijącej się zmił lub innego potwora, od którego żyjące istoty odwracają się ze wstrętem, a co gorzej—w ciele potępieńca“ i t. p.

Buddha umarł w 478 roku przed Narodzeniem Chrystusa, przeżywszy lat 45 i przez wszystkich wyznawców jest uważany, jako „bóg-człowiek”. Nie pozostawił po sobie żadnych dzieł pisanych, ale uczniowie jego ułożyli trzy księgi, zawierające całą naukę Buddhy, mianowicie: „Winaya” (dyscyplina), „Dharma” (dogmaty) i „Abhidharma” (metafizyka).

Co zaś do historii buddyzmu, to jest ona bardzo zbliżona do historii naszego chrześcijaństwa.

Buddyzm, w początkach, podobnie posiadał swoich sławnych męczenników, podobnie posiadał epokę absolutnej potęgi i w czasie, gdy nauka Chrystusa zaledwie puszczała korzenie na Zachodzie, buddyzm trząsł całym światem azjatyckim.

Następnie potworzyły się sekty, a wraz z nimi niesnaski i kłótnie, oraz rozlew krwi. Buddyzm miał także swoją „Noc św. Bartłomieja” i pełną fa-

natyzmu inkwizycję i wojny religijne, przypominające nasze krucjaty.

To też wielu misjonarzy zgadza się na to, że, w gruncie rzeczy, każda religia nakazuje miłość bliźniego, cel wzniosły, do którego cała ludzkość posuwa się zwolna od wielu wieków, t. j. od chwili swego urodzenia.

Że, jeżeli pierwotne przykazania mistrzów, jako to: „Dawaj jałmużnę i nie rób złego istotom żyjącym” (Buddha).

„Szczanuj przodków, kochaj rodzinę i pomagaj bliźniemu” (Konfucjusz), i inne nie otrzymały natychmiastowego zastosowania, to dlatego, że te boskie idee, po śmierci mistrzów, przeszły w ręce ludzi zwyczajnych, ich następców, którzy zagłuszyli je przez egoizm ludzki. Potworzono świątynie, bóżnice, kasty, hierarchie, prawidła, ceremonie, młynki do modlitwy (Tybet) i t. p., wytwarzając różne sekty, które przez swe niesnaski zamieniły głoszoną przez mistrzów miłość w nienawiść, pogardę i rozlew krwi. To nie przeszkadza, że, pomimo tych wałek, a nawet może dzięki tej kilkunastowiekowej walce, pierwotne idee mistrzów zakiełkowały w sercach wszystkich narodów, i chociaż dziś nikt jeszcze nie kocha stale bliźniego swego, jak siebie samego, to jednak są chwile w życiu każdego człowieka, w których miłość bliźniego dorównywa miłości samego siebie. Miejmy więc nadzieję, że chwile takowe powtarzać się będą z czasem coraz częściej i w końcu, z wiekami zamienią się w stan normalny każdego indywiduum.

Mandaryni.

Hanoi, 15 października 1907 r.

Hanoi, stolica Tonkinu. Piękne miasto! Posiada elektryczne tramwaje, elektryczne oświetlenie, szerokie, ozdobione kilkopiętrowymi gmachami bulwary, bogate magazyny, kilka hoteli, wspaniały teatr i ogród botaniczny. W środku miasta znajduje się jezioro, usłane kwiatem lotosu, na jeziorze—wysepka, na wysepce—pagoda!

Każdy oficer lub urzędnik francuski, który uważa się za coś lepszego, posiada swoją karetkę z liberyą i parę koni. Wszystko, co prawda, w tych krajach kosztuje razem około 200 rb.; można więc używać szyku, bez żadnych wyrzutów sumienia.

To też, jak się stanie na bulwarze Carnot około 5-ej godziny po obiedzie i widzi się to mnóstwo przelatujących karetek z lokajami w różnokolorowych liberyach, masy *pusów* (wozik o dwóch kołach ciągnięty przez człowieka), rowerów, a nawet automobilów, to człowiek zapomina, że znajduje się w głębokiej Azji i myśli, że stoi na *Avenue de Bois de Boulogne* podczas *mi carème'u* i że wszyscy Paryżanie poprzzebierali się za Annamitów.

Rower, który opanował całą Europę, rozpowszechnia się obecnie z ogromną szybkością w całej Azji. Dziś w każdym większym mieście annamskim Annamici pedałują z większą zajądlnością, niż my. W Sangaju widziałem dwie Chinki, popisujące się przed publicznością na rowerach! Cesarz Syamu prawie codziennie wyjeżdża wraz z całym

dworem na spacer na... rowerach! Wogóle Azya, ta spokojna, śpiąca Azya, od kilkudziesięciu lat drażniona bagnetami europejskimi i obsypywana mnóstwem torped, bomb i kartaczów, poczyną tracić sen i cierpliwość! Budzi się, przeciera oczy, ziewa, pragnie zerwać się na równe nogi! Europa zaczyna się niepokoić, gdyż czuje, że azyatyckie siły, po tak długim wypoczynku, mogą wkrótce przewyższyć nasze siły, zużyte fabrycznem intensywnem życiem, wygórowaną ambicją i himerycznemi pragnieniami!

Stara to przepowiednia! Pamiętam, jeszcze świętej pamięci Franciszek Duchiniński, mąż niedawno zmarłej naszej poetki, powtarzał nam często: „Moje dzieci, przyjdzie epoka, w której ucywilizowane Chiny rzucą się z wściekłością na Europę, ażeby zemścić się barbarzyńsko za wszystkie upokorzenia, jakich od nas doznały w ostatnich wiekach! Powiedźcie przeto waszym wnukom: niech każdy uzbroi się w parasol, bo w tych Chinach ludzie z parasolami posiadają wielki szacunek i wolni są od kary śmierci”.

Wsluchując się w prorocze słowa ś. p. Duchinińskiego, nie przypuszczałem wówczas, że kiedyś zaznajomię się bliżej z owymi mandarynami o licznych parasolach (liczba parasolów zależy od klasy mandaryna) i że z nimi dyskutować będę o sprawach społecznych Azji. Niedawno, kiedyś powtórzył słowa Duchinińskiego jednemu z uczonych Annamitów, z którym oddawna jestem w przyjacielskich stosunkach, ten ostatni, nazwiskiem Hoang-

Tsong-Phu, zerknął na mnie z pod swych ogromnych okularów i tak mi powiedział:

— Kuan Ba (panie o trzech galonach, kapitanie) być może, że polski mandaryn miał rację... Ale, bo i po cóż wy do nas pehacie się? Cywilizacja wasza, która ma niby na celu dobro i udoskonalenie całej ludzkości i którą wy narzucacie nam siłą zbrojną, jest dla naszego narodu zupełnie wstrętna! Annamici, z natury łagodnego i spokojnego usposobienia, nie wierzą w moralną siłę Zachodu.

Wam głównie chodzi o pieniądze, który pozwala wam w krótkim czasie rozkoszować się wszystkimi wrażeniami życia. Dewizą waszą jest szybkość i gwałtowność, naszą—spokój i umiarkowanie. Wy stawiacie pomniki Napoleonowi Bonaparte za to, że był przyczyną śmierci 600,000 ludzi w pełnej sile wieku; u nas żołnierz, na równi z aktorem i cyrulikiem, jest pogardzany i nie ma nawet prawa przyjmowania udziału w konkursach do mandarynatu.

Nawet w drobnostkach codziennego życia prawie że wszystko u nas jest na odwrót. Wy na przykład zdejmujecie kapelusze dla okazania szacunku; my, przeciwnie, w takich razach kładziemy go na głowę. Wy zaczynacie obiad od zupy, my kończymy obiad na zupie. Wy podczas obiadu pijacie zimne trunki, a my—zawsze gorącą herbatę. Wasze książki zaczynają się od pierwszej stronnicy, a nasze od ostatniej. Wy czytacie od lewej strony ku prawej, a my—od prawej ku lewej. Wasze pisane lub drukowane wiersze są poziome, a nasze — pro-

stopadłe. Wasz uczeń, recytując lekcję swemu profesorowi, patrzy mu w oczy, a nasz — odwraca się tyłem. Wy płaciec lekarza w razie choroby, my przeciwnie, przestajemy go płacić w razie, gdy jeden z członków rodziny się rozchoruje i t. d.

Wy nazywacie nas barbarzyńcami dlatego, że obcinamy ręce złodziejom, że wyciągamy język fałszywym świadkom, że nieposłusznych poddanych wiążemy i rzucamy na pastwę mrówkom, że niewiernym małżonkom obcinamy uszy, a niewierne żony rozkładamy na rozstajnych drogach dla przechodniów etc. Ale, na litość Buddy, przecież to jest nasz kodeks; wszystko odbywa się prawnie. Nie nasza to wina, że wy boicie się śmierci; u nas naród pogardza życiem i tylko przedśmiertne męki są dla niego karą! Każdy kraj ma swoje obyczaje. Wierzej mi, Kuan-Ba, że pomimo tych, jak wy nazywacie, okrucieństw, my jednak nie jesteśmy zdolni wyrządzić najmniejszej krzywdy ludziom uczciwym i pracowitym. W żadnym moim kraju starcy i mężowie zasług nie są tak szanowani jak u nas.

Zasady moralne Konfucjusza, rozpowszechnione w Azji na 500 lat przed Narodzeniem Chrystusa, są podstawą naszej cywilizacji. Zasady te nakazują nam, *nie obiecując żadnych nagród pośmiertnych*, cześć przodków, szacunek dla starszych i miłość w rodzinie! Dzięki tym zasadom, „Wielkie Cesarstwo spokojnego Południa“ (Annam), „Wielkie Cesarstwo Przeczystego Środka“ (Chiny), „Wielkie Cesarstwo Wschodzącego Słońca“ (Japonia), istnieją od 5000 lat! Proszę, wskażcie mi choć jedno pań-

wo Europy, które posiadałoby taką długoletnią przeszłość!...

— Prześwietny mandarynie — odrzekłem — słowa wasze błyszcą prawdą, jak promienie gwiazdy, która świeci w tej chwili nad naszą głową; ale, mnie się zdaje, że Europa pragnie zbliżyć się do Was nie tak dla cywilizacji, jak dla handlu, przeważnie dla handlu, któremu Wy stale stawiacie kategoryczny opór. Na tym punkcie, wasza słodka i pozorna uprzejmość zmienia się często w barbarzyński gniew, który zmusza Europę do użycia siły zbrojnej.

— Tak, tak, dla handlu — powtórzył z ironicznym uśmiechem i kiwając głową mandaryn. — My także bardzo lubimy handel! Ale, niestety, pod tym względem Azja wie dobrze, czego ma się trzymać! System wasz spokojnego wkraczania do cudzego kraju nie jest już dla nas żadną tajemnicą. My wiemy, że cywilizacja i handel są tylko pięknym pretekstem, po za którym kryją się inne plany. Podczas mego pobytu w szkołach francuskich doskonale pojąłem ten genialny system i oto na czem on polega. W oddalonym, nieznanym kraju, najpierw pojawiają się wasi misjonarze, którzy, pełni chrześcijańskiej dobroci i pokory, pod pozorem rozpowszechniania nauki Chrystusa, studyują słabe strony żółtej rasy i szczegółową mapę naszych krajów. Następnie, za misjonarzami wciskają się i osiedlają tu i owdzie rozmaici robaczywi komersanci, przemysłowcy i plantatorzy. Ci ostatni z początku, podobnie pełni chrześcijańskiej uprzejmości, nabierają powoli odwagi i hardości, aż wreszcie

wymagania ich nie posiadają żadnych granic. Opierając się na różnych, niezrozumiałych dla nas prawach, kończą zwykle nielitościwą, prawdziwie barbarzyńską eksploatacją naszego narodu. To też nie dziwnego, że naród ten, straciwszy wszelką cierpliwość, ucieka się w końcu do pożarów i do mordowania swoich gnębieli...

Ale Europa, naszpikowana bagnetami, inaczej na to patrzy. Sprawiedliwe oburzenie gnębionych barbarzyńców, otwiera dla niej nowe pole. Uszczęśliwiona, że posiada wiązkę faktów, na które czyha od dawna i których doniosłość stara się przesadzić w oczach cywilizowanego świata, urządza ekspedycję i siłą zbrojną napada na barbarzyńców. Rznie, łupi, pali, gwałci zupełnie prawnie! Obrona rodaków służy dla niej za sztandar, usprawiedliwiający przed całą ludzkością. Naturalnie, posiadając sztukę zabijania ludzi *en gros* o wiele lepiej, niż my, zwycięża w końcu i przychodzi do tego przekonania, że kraj nasz potrzebuje porządku i opieki!... Ogłasza przeto protektorat, który z czasem przekształca się w zwyczajne przywłaszczenie.

Anglia tak zrobiła z Indiami, Francya z Indochinami i Annamem, Rosya chciała też samo urządzić z Mandżuryą i t. d. i t. d."

Widząc, że mój mandaryn coraz więcej się zapala, co jest nadzwyczaj niebezpieczne w podzwrotnikowych krajach, zdecydowałem odłożyć dalszą dyskusję do następnej wizyty. Złożyłem więc, zgodnie ze zwyczajem, obydwie ręce jak do modlitwy i, pochyliwszy głowę, zrobiłem kilkakrotny *lay* (ukłon) poczem, tyłem wycofawszy się ku drzwiom,

znikłem lekko, jak *pan* tygrys. (W Annamie tygrys jest w wielkiem poszanowaniu; wzbudza on w Annamitach taki postrach, że, rozmawiając o nim, naród zawsze go nazywa *panem tygrysem*).

Mój mandaryn zajmuje w Tonkinie wysokie stanowisko *Tong-Doka*, t. j. gubernatora prowincyi, Bac-Ninh i zarazem jest mandarynem II-ej klasy.

W Annamie istnieje 14 klas mandarynatu (szlachectwa), w Chinach—9.

Mandarynat annamski jest pochodzenia chińskiego i był wprowadzony do Tonkinu na 40 lat przed Narodzeniem Chrystusa.

Szlachectwo annamskie jak również chińskie nie jest dziedziczne. Tylko dzieci panującego domu i potomkowie Konfucjusza z prawa należą do szlachty I-ej klasy. Wszyscy zaś inni, nawet synowie najdostojniejszych urzędników państwa muszą sobie własną i osobistą pracą zasłużyć na dyplom szlachecki. W tym celu w Pekinie i w Hue (stolica Annamu) rząd urządza egzamina konkursowe.

W Tonkinie, na 100 wolnych miejsc przedstawia się zwykle przeszło 3000 kandydatów.

Egzamina odbywają się co 3 lata w mieście tonkińskim Nam-Dinh z wielkimi ceremoniami i z całym pozorem sprawiedliwości. Każdy kandydat (zdarzają się kandydaci 60 lat wieku) zamyka się w małej chałupie ze słomy, z której nie wolno mu wychodzić ani komunikować się ze światem przez 15 dni, t. j. przez cały czas konkursu. Na te 15 dni kandydat zabiera z sobą żywność, papier, tusz i pendzel do pisania.

Ten potężny obóz prezentuje się bardzo im-

ponujaco i jest srogo strzeżony przez policję rządową. Niektórzy kandydaci umierają z wycieńczenia.

Każdy kandydat powinien mieć na pamięć 300 reguł ceremonii i 3000 artykułów dobrego zachowania się w towarzystwie. Oprócz tego kandydaci powinni podczas 15 dni rozwinać jakąś myśl Konfucjusza, wybraną przez delegację profesorów. Tak na przykład:

Czy jest rozsądnie myśleć bezprzestannie o tem, co będzie po za życiem, nie znając dokładnie samego życia i czy to życie jest wystarczająco długie, ażeby mózgi go dokładnie zgłębić? Albo:

Czy harmonia towarzyska nie zależy od ciągłego panowania nad uczuciami każdej oddzielnej jednostki? i t. p.

Po egzaminach, pierwszych stu kandydatów otrzymuje, z pewnemi ceremoniami, dyplom mandaryna XIV-ej klasy oraz natychmiastowe miejsce rządowe albo przy jednym z dworów królewskich albo w administracyi protektoratu Francyi. Od tej chwili nowy mandaryn, chluba całej rodziny i całego powiatu, nie ma prawa zajmować się ręcznem rzemiosłem, zapuszcza długie paznokcie, oznakę klasy inteligentnej, nosi czapkę szlachecką z pawiem piórem i ze srebrną galką, oraz odpowiedni mundur mandaryna XIV-ej klasy.

W Indo-Chinach, dyplom mandaryna musi być potwierdzony przez gubernatora francuskiego protektoratu; w przeciwnym razie, nie posiada żadnego znaczenia.

Teraźniejsze Indo-Chiny francuskie obejmują: Annam, Tonkin, Laos, Kochinchinę i Kambodżę.

W Annamie obecnie panuje pod protektoratem Francyi król Than-Thaï (stolica Hué); w Kambodży (stolica Pnom-Penh), król Lissowath. Inne zaś państwa, mianowicie: Kochinchina (stolica Saïgon), Laos (stolica Luang-Prabang) i Tonkin (stolica Hanoï) są rządzone przez francuskiego gubernatora, pana Beau, mieszkającego zimą w Hanoï, a latem w Saïgonie.

Mandaryni pierwszych czterech klas, wyjeżdżając oficjalnie, zabierają zawsze z sobą całą świtę, złożoną z kilkudziesięciu osób. I tak najpierw kilku jeźdźców, na małych konikach annamskich, ustrojonych dzwoneczkami, poprzedza orszak. Następnie kilku laurów, uzbrojonych w pręty *zongu* (rodzaj trzciny) biegnie, krzycząc na pospólstwo „*hep, hep!*“ (co oznacza: na bok, z drogi)! Za laurami, biegną służebnicy: jeden niesie szablę przodków, inny—tarczę, inny—berło dowództwa, inni—wachlarze z pawich piór, inny—szkatułkę z opium, inny jeszcze—fajkę i przyrządy do palenia, inny—pudełko z betelem (w Annamie żucie betelu jest nadzwyczaj rozpowszechnione) i t. d. Wreszcie, sam mandaryn w czerwono-lakierowanym i suto pończacanem krześle, niesionem, podobnie klusem przez czterech drabów, obok których czterech innych biegnie dla zmiany. Za krzesłem biegną służebnicy z ogromnymi parasolami z bambusu, i w końcu orszak zamyka straż mandaryna, uzbrojona w miecze, halbardy i lance.

Wszystcy mandaryni bez wyjątku w państwie

annamskiem uważają za stosowne lakierować sobie zęby na czarno! Czarne lakierowane zęby w całym Annamie są uważane za dowód wielkiego szyku i piękności. Tutejsze elegantki brzydzą się trupiej białości zębami i tylko biedni i nędzarze noszą zęby białe! To też często w poezjach annamskich, w opisach płci pięknej, spotyka się to wyrażenie: „Miała zęby czarne jak heban“. Kolor biały we wschodniej Azji jest wogóle oznaką koloru żałoby, zupełnie przeciwnie jak u nas. Na pogrzebach wszyscy są ubrani biało.

Betel i opium niesione przez służebników mandaryna są niezbędne! Wszyscy Annamici żują betel, do którego mieszają trochę wapna i kawałek orzecha *areka*. Z tego powodu pluja czerwono, mają usta jakby zakrwawione i wyglądają obrzydliwie! Z początku potrzeba bardzo dużo dobrej woli, ażeby móżdżek całować usta tutejszej płci pięknej bez wstętu!

Drugą pasją Annamitów jest palenie opium. Wielka pasja, ale jednak mniej szkodliwa, niż europejski alkoholizm. Powiadam — *europejski*, gdyż Azja wcale nie zna pijaków.

Opium wyrabia się z makówek, a nie z ziarnek maku, jak niektórzy przypuszczają; z ziarenek wytłaczają tylko makowy olej. W Indyach, w Chinach i na północy Tonkinu uprawiają obszerne pola sinego maku, jak u nas pola jęczmienia lub owsa. W epoce, kiedy mak dojrzeje i makówki przybierają kolor szary, plantatorzy, nie czekając zupełnego tychże wyschnięcia, nacinają je po zachodzie słońca specjalnym instrumentem.

Każda nacięta makówka wydziela mlecz biały, który podczas nocy ścieka w odpowiednio zbudowane naczynia. Następnego dnia mlecz ten, pod działaniem ciepła i słońca tężeje i przybiera kolor ciemny. Dobrze przygotowane opium posiada kolor brunatny i gęstość ciekącego miodu i w takiej formie sprzedają go bardzo drogo. Kilogram opium w Chinach kosztuje około 80 franków, a we Francji z powodu podatków, przeszło 300 franków! Gatunek opium, tak, jak wina, zależy przedewszystkiem od własności gruntu. Indyjskie opium jest uważane za najlepsze!

Opium pali się zawsze w pozie leżącej. W tutejszych opiumeryach są ustawione ku temu specjalne łóżka wraz przyborami do palenia. Każdy prawdziwy palacz przygotowuje swoją fajkę osobiście z pewną rozkoszą. W tym celu palacz chwyci za pomocą długiej szpilki, oprawionej w kość słoniową, albo w zwyczajny bambus, kropelkę opium, którą nagrzewa nad płomieniem małej lampki; kropelka przy nagrzewaniu pęcznieje i zarazem twardnieje, zamieniając się w ciasto. Ztwardniałą kropelkę palacz zanurza w opium i nagrzewa powtórnie, wzmacniając ją nową warstwą. Operacja ta powtarza się kilka razy, dopóki kropelka nie dojdzie wielkości małego orzeszka. Następnie, palacz kula miękkiego orzeszka na brzegu fajki, ażeby mu nadać formę stółka, którym ostatecznie szpuntuje otwór fajki. Fajka jest gotowa do palenia i pozwala zrobić dwa, albo trzy pociągnięcia (łyki) nie więcej. W Chinach i w Annamie wyrabiają

z gliny specjalne fajki do palenia opium z ostrokrągłym otworem i płasko ściętymi brzegami.

Pierwsza wypalona fajka robi wogóle dosyć przykre uczucie, tak, jak pierwszy papieros. Po kilku jednak dniach mdłości ustają i palacz odczuwa przyjemne odurzenie. Od tej to chwili opium zaczyna prawdziwie działać i wówczas palacz nie kontentuje się jedną tylko fajką.

Przy drugiej fajce człowiek ma złudzenie, że cały system nerwowy znika, że ciało go opuszcza wraz ze wszystkimi dolegliwościami fizycznymi, i wpada w błogi stan *duszy bez ciała*. Trzecia fajka uzupełnia zniszczenie ciała i działa przeważnie na mózg. Siły umysłowe dochodzą do wysokiego naprężenia, palacz czuje w sobie nadmiar energii, potrzebę rozmowy, jest cały zelektryzowany, oczy mu błyszczą, widzi wszystkie kwestye o wiele jaśniej, aniżeli w stanie normalnym; jednym słowem dochodzi do stanu człowieka natchnionego. W tym stanie palacz pozostaje czasami nawet parę godzin. Wkrótce jednak następuje smutna reakcja: wszystkie siły opadają, człowieka ogarnia ogólne wycieńczenie, które zwykle kończy się głębokim snem, pełnym sympatycznych widzeń!... Niestety, po dziesięciu dniach, palacz czuje, że trzy fajki dziennie nie dają mu oczekiwanych wrażeń, musi więc podwoić dotę i pali sześć fajek dziennie! Jest to niby umiarkowana doza, ale... przyjemne wrażenia powoli znowuż słabną... i znowuż dozę się zwiększa!...

Od dwunastu fajek dziennie zaczyna się praw-

dziwa namiętność; człowiek nie może uczciwie pracować bez palenia opium.

Od 24-ch fajek namiętność jest prawie niewyleczalna. Ci, którzy zarzucają palenie raptownie, kończą samobójstwem lub obłąkaniem.

Palacz o 48-u fajkach przestaje jadać, traci na wadze i powoli wysycha. Po kilkunastu latach zamienia się w żyjący szkielet; skóra i kości! I zwykle przy ostatniej fajce spokojnie zasypia na wieki wieczne.

Są palacze, którzy, szczególnie na stare lata, dochodzą do stu fajek dziennie. Okropność!...

Kończę, gdyż jutro wyjeżdżam do Lang-Son, nad granicę chińską. Muszę się pakować! Do widzenia!

VI.

Zdobycie Pey-Tang'u.

Quang Yen, 4 grudnia 1907 r.

W ostatnim moim liście wspominałem, że wyjadę do Long-Czeu, ażeby na miejscu wystudować obecną rewolucję chińską w stosunku do Europejczyków.

Po tygodniowym jednak pobycie w tem mieście zmuszony byłem, z powodu silnego ataku febrzy, porzucić Wrota Chin i zamieszkać, jako rekonwalescent, w sanatorium Quang-Yen.

Quang-Yen leży na północy od portu tonkińskiego Hai-Phong. Sanatorium, złożone z kilku-

nastu willi, rozrzuconych w obszernym starym parku, robi wrażenie raczej bogatej posiadłości wiejskiej, aniżeli szpitala. Naokoło pełno kwiatów; bawoły i konie pasą się na łąkach. Widok piękny: z jednej strony na pasmo gór Luk-Nam, a z drugiej na cudowną zatokę morską Along, malowniczo przybraną dziwaczniemi skałami. Życie tu płynie cicho, monotonnie i błogo, bez żadnych kłopotów. Moja Donia, która towarzyszy mi wszędzie, mieszka z paniami na dole; siedzi właśnie w ogrodzie, w cieńnię bambusów i robi koronki; a ja? Ja żyję tymczasem wspomnieniami...

Ta obecna rewolucya chińska, która ma na celu oswobodzenie Chin z pod jarzma mandżurskiego i wyniesienie na tron dawnej dynastyi *Mingów* przypomina mi ostatnie rozruchy bokserów, przeciw którym walczyłem w 1900 r. Przykra to była wyprawa! Wyprawa, pełna przygnębiających wrażeń, rozdzierających scen i barbarzyńskich epizodów. Przykra, jak każda wojna, jak każda epoka, w której ludzie ludzi mordują, często niepotrzebnie.

A jednak dziś, gdy wszystko już minęło, gdy czas złagodził kolce odniesionych wrażeń, człowiek chętnie wraca myślą do owych chwil, nawet z pewnym żalem za niemi. Dlaczego? — Bo wie, że chwile te utonęły w nieskończonych głębinach, że je utracił na zawsze, i że one już nigdy, nigdy nie powrócą! Kaprys natury ludzkiej...

Wiktor Hugo powiedział, że wojna jest zbrodnią. Von Moltke twierdził, że pokój jest snem, a wojna — życiem narodów. Kto ma rację? Być

może, wojna jest złem koniecznem dla przyspieszenia postępu ludzkości?...

W każdym razie jasno widzimy, że najbliższym szczytem, do którego ludzkość dąży od paru tysięcy lat, jest „miłość bliźniego“. Powiadam — *najbliższym*, gdyż ludzkość, doszedłszy do owego szczytu, prawdopodobnie odkryje nowe horyzonty i nowe ideały, których dziś, przy obecnym stanie umysłowym i moralnym, nie może nawet przewidywać.

O „miłości bliźniego“ po raz pierwszy głośno nauczał w tych stronach Buddha, w 502-gim roku przed Narodzeniem Chrystusa. Otóż, po 2400-u latach narody nareszcie zdobyły się na dwie międzynarodowe konferencye w Hadze, mające na celu utworzenie pokoju uniwersalnego. Po pierwszej konferencyi Anglia zamordowała Boerów, po drugiej — Japonia zamordowała Korejczyków!... Zaiste, bardzo, bardzo wolno posuwamy się naprzód.

Ale, wracam do moich wspomnień z wyprawy przeciwko bokserom. Właśnie leży przedemną stary kajet, w którym w swoim czasie notowałem osobiste spostrzeżenia i oto urywek z tego starego kajetu.

Dnia 14-go sierpnia 1900 r. o godz. 11-ej rano stanęliśmy pod Pekinem. Z mojej rot, złożonej z 200-tu ludzi, którzy wylądowali w Taku, pozostało mi, po wzięciu Tien-Tsina, 152, po wzięciu Jan-Tsung'a — 130, i wreszcie pod Pekin przybyło 90-in. Jednem słowem — nieobecnych jest 110, z których 12-u zabitych, 36 u rannych i 62 chorych.

Statystyka wojskowa dowodzi, że obecnie

podezas bitwy, chcąc zabić człowieka, trzeba, żeby waga wystrzelonych kul równała się wadze zabitego, i że armię przeważnie niszczą nie kule nieprzyjacielskie, lecz—dysenterya i tyfus.

Ludzie moi, zmarnowani dziesięciogodzinnym marszem, leżą teraz na trawniku pod murem starej, opuszczonej pagody i odpoczywają w oczekiwaniu dalszych rozkazów. Przed nami, na wzgórku postawiłem dwóch żołnierzy na pikiecie; patrzą w stronę Pekinu, którego nikt nie widzi, pomimo że to wielkie miasto, posiadające prawie 2 miliony mieszkańców, znajduje się tuż obok, o dwa kilometry drogi. Reszta oddziału francuskiego obozuje na lewej stronie kanału Palikao. Nasz generał siedzi na drzewie i przez lornetkę obserwuje widnokrąg. Artylerya francuska i amerykańska zajęły pozycje nie daleko od nas i bombardują niewidzialne miasto. Malownicza kawalerja indyjska, w bogatych zawojach, prowadzona przez angielskiego oficera, wyjeżdża na zwiady, wkrótce jednak znika w polach kukurydzy i trzciny cukrowej. Dzień piękny, niebo jasne, bez chmurki. Ptaki świergoczą radośnie. Promieniejące słońce zdaje się cieszyć, że prawie wszystkie narody cywilizowane kuli ziemskiej zebrały się pod murami Pekinu, ażeby upokorzyć tych, którzy od 5,600 lat imponują światu swoją spokojną i pracowitą egzystencją. Dzieci przyszły upokorzyć ciotkę—staruszkę!

Moi oficerowie wchodzą do pagody; robią szym szym dziękując Buddhzie za opiekę. W pagodzie, u stóp ołtarza, leży trupia głowa, sama jedna, bez szkieletu. Tę głowę mógł tu przynieść

tylko Chińczyk lub Japończyk, a więc—głowa Europejczyka. Ale—jakiej narodowości? Obecnie pod Pekinem stoją Francuzi, Amerykanie, Anglicy, Austriacy, Niemcy, Rosjanie i Włosi. Trudno odgadnąć. Biorę czaszkę w rękę, oglądam; wewnątrz siedzą dwa skorpiony. Widocznie dały sobie *rendez-vous* w tej próżnej czasce, ażeby — flirtować... Oto wszystko, co pozostało z uczuć, z idei i projektów tej ludzkiej głowy, która przywlekleła się aż do Pekinu, może tak, jak ja z nad brzegów Wisły, ażeby ostatecznie spocząć na wieki u stóp brzuchatego Buddy!...

Gdy tak melancholijnie rozmyślam, wchodzi podoficer i wręcza mi następujący rozkaz naszego generała: „Rota pana J. przeprawi się natychmiast na lewy brzeg kanału i stanie na prawem skrzydle, gotowa do marszu, jako awangarda“.

Oznajmiam decyzję generała rocie, poczem wszyscy ochoczo puszczamy się w stronę mostu, rzuconego przez kanał. Po drodze spotykamy liczne stado gęsi, które każę dołączyć do roty, bo ludzie od samego rana, oprócz czarnej kawy, nie w ustach nie mieli. Przeszedłszy na drugą stronę kanału, spotykam oficera sztabu. Oficer powiada mi, że generał w tejże chwili otrzymał od rosyjskiego generała Liniewicza wiadomość, która zupełnie zmienia nasze plany, mianowicie, że oddział francuski nie wyruszy z miejsca przed północą. Wkrótce też podchodzi ku mnie sam generał; zdala wskazuje mi ręką pozycję, którą powinniśmy zająć. Salutuję, podjeżdżam, proszę go o pozwolenie przeprowadzenia zabranego stada gęsi, dodając, że ludzie nie

jeszcze dziś nie jedli. General, uśmiechając się, grozi mi palcem, wreszcie pozwala. Gęsi gęgają; koń mój rży, nie wiem dlaczego, jak ogłupiały; zdała słyhać huk armat; nad głowami z przerażającym trzaskiem przelata bomba nieprzyjacielska, która pada daleko od nas. Widocznie, że nasza godzina jeszcze nie wybiła. Bokserzy, wogóle, strzelają zbyt wysoko.

Po zajęciu pozycji i postawieniu warty wszyscy ludzie rzucają się z odwagą i zapalem, godnym starych wojaków, do gęsi! Rzną, skubią, paproszą, ogień palą, szykują różny z bambusów. Dawno nie mieliśmy takiej fety! Ogólne pożywienie!...

Naraz, podczas tych apetycznych przygotowań i operacji, z za ołtarza pagody wysuwa się niby widmo jakiś stary Chińczyk. Stary jak świat, chudy, żółty, pomarszczony, trzęsący się i o kijach. Wyciąga ku nam ręce, powtarzając drżącym, przytłumionym głosem: „*Czaj, czaj*“, co po chińsku oznacza „herbata“. Najwyraźniej umiera z pragnienia i prosi o herbatę. Myśląc, że to szpieg, każe go rewidować, ale oprócz lachmanów, skóry i kości, należących do samego Chińczyka, nie nie znajdujemy. Powiadam przeto ludziom, żeby go zatrzymali tymczasem w rocie i zrobili mu herbaty. Kilku roztropniejszych, ochłonawszy z pierwszego zdziwienia, biorą starca pod ramię, sadowią go z wszelkimi ostrożnościami przed salaterką ryżu i zaczynają szykować „*czaj*“. Rozmowa prowadzi się na migi, Chińczyk czuje się bardzo zadowolony; wszyscy się cieszą; wielka radość!

Słowo chińskie „*czaj*“ zatrzymali w swoim

języku Rosyanie i Portugalczycy. Podczas mego pobytu w Lizbonie często spotykałem ten napis na szyldach portugalskich. Marco Polo, zwiedziwszy po raz pierwszy Chiny w r. 1295, przewiózł tę roślinę do Wenecyi i do Portugalii, jak również i nazwę „Państwo Chin“, które istnieje dziś we wszystkich europejskich językach, z wyjątkiem samych Chin. Chińczycy weale nie znają tego wyrazu „Chiny“, bo Chiny w Chinach nazywają się po chińsku „*Thion-Hoa*“, a po tatarsku „*Ky-Tay*“.

Marco Polo, przyjechawszy do Chin, prawdopodobnie pytał o nazwę cesarstwa, i odpowiedziano mu, że całe to państwo należy do Tsyn, t. j. do ówczesnego panującego domu Tsyng'ów, skąd może poszło słowo „Chiny“. (?)

Po pysznej kolacji, złożonej z pieczonej gęsi i ryżu (szkoda, że niesolonego), odesłałem starego Chińczyka do generała, poczem, wyciągnawszy się w pogodzie, na ołtarzu, wkrótce zasnąłem.

Około godz. 2-ej rano mój *ordonnance* Lassa-le nieśmiało mnie budzi i powiada:

— Mój kapitanie! Rota stoi pod bronią i czeka tylko na pana, ażeby wymaszerować.

Zrywam się na równe nogi, wsiadam na konia! ciemno, jak w uchu! Z trudnością odnajduję rotę i natychmiast ruszamy do punktu zbornego, przed mieszkanie generała. Mój porucznik oświeca drogę fotoforem. Na punkcie zbornym prawie że wszyscy już są na miejscu; czekają tylko na przewodnika i na artylerję. Oddział składa się z 700 ludzi. Wkrótce też generał obejmuje dowództwo; półgłosem komenderuje „*en avant — marche!*“ i

wszyscy razem wolnym, niepewnym z powodu ciemności krokiem puszczaemy się w drogę; moja rota, jak było powiedziane, na przodzie, jako awangarda. Posuwamy się wolno i ostrożnie, ażeby nie wpaść w zasadzkę. Idziemy, zatrzymując się co chwila prawie półtrzeciej godziny. Nareszcie zaczyna świtać. Po drodze spotykamy kilkudziesięciu strzelców syberyjskich. Przechodząc, uśmiecham się do nich i wołam: „Zdarowo bratcy!” Zaskoczeni odpowiadają machinalnie chórem: „Zdrawia żelajem” i t. d., poczem wytrzeszczają oczy i nie mogą wyjść z podziwu. Moja rota cieszy się bardzo z tego wydarzenia. Nieco dalej natrafiamy na obóz rosyjski generała *Stössla* i w chwilę potem nagle stajemy przed Pekinem, a raczej przed potężnym murem kamiennym 16 stóp wysokości, okalającym stolicę chińską!

Serce bije mi ze wzruszenia. Będąc jeszcze dzieckiem, w Warszawie, często marzyłem o zwiedzeniu różnych stolic świata, ale o zobaczeniu Pekinu nigdy w życiu nie marzyłem! Zbliżyliśmy się ku wrotom. Żołnierze rosyjscy niosą na brankardzie zbroczonego krwią generała Wasilewskiego. Następnie, przy wejściu do miasta spotykamy ze dwudziestu zabitych strzelców syberyjskich, leżących jak barany jeden za drugim. Nasz generał każe, przechodząc, sprezentować broń dla uczczenia poległych.

Do miasta wchodzimy przez kolosalne wrota — rodzaj głębokiego tunelu. Z prawej strony widzimy opuszczony gęsty park; z lewej — szerokie pole, na

którem pasą się wielbłądy, a w głębi — ogromną, okrągłą pagodę z podwójnym dachem, pokrytym niebieską emalią. Jedni powiadają, że to świątynia Nieba, drudzy — świątynia Ziemi, a inni jeszcze — świątynia Agrykultury. Idziemy dalej prosto, ze dwadzieścia minut (zdawa ciągle słychać huk armat); w końcu skręcamy na lewo na nieskończenie długą ulicę prawdziwie wielkiego miasta. Ulica nadzwyczaj szeroka, niebrukowana, bez trotuarów, podziurawiona dołami, brudna, cuchnąca; domki małe, drewniane, różnokolorowe, z rzeźbionymi, połączanymi ozdobami; mnóstwo magazynów z wiszącymi na poprzek ulicy prostopadłymi sztyldami. Przed domkami masy potłuczonych sprzętów, połamanych mebli, wozów etc. Wszystko zdruzgotane, wszystko w ruinie! Ciszta cmentarna. Żywej duszy na ulicy, tylko stado kruków przelata z miejsca na miejsce, kracze złowrogo, szukając pozostałych trupów! W powietrzu czuć krew ludzką i wojnę.

Stolica składa się z niskich, jednopiętrowych domków, utopionych w zieleni i komunikujących się między sobą. Powiadają, że wysokość domów Pekinu nie może przewyższać stu stóp dlatego, że zgodnie z nauką taoistów dusze zmarłych krążą ponad ziemią na wysokości 120 stóp, chodzi więc o to, żeby duchom zostawić swobodę bujania w powietrzu i nie rozdrażniać ich przeszkodami, co mogłoby ściągnąć na miasto wielkie klęski. Niektórzy jednak mandaryni utrzymują, że wysokość domów była oznaczona przez dekret cesarski dla tego, żeby żaden dom prywatny nie mógł imponować swoją wysokością pałacowi cesarskiemu, który nie przewyż-

sza jednego piętra, i co byłoby przeciwne „protokółowi chińskiemu“.

Wczoraj wieczorem reszta mieszkańców opuściła stolicę, zostawiając swe mienie na pastwę bokserom i barbarzyńcom Zachodu. W nocy z 13 na 14 sierpnia sam cesarz *Kuang-Su*, cesarzowa i matka cesarza, przy pierwszym wystrzale nieprzyjacielskich armat, „porzucili miasto święte“ na ubogim dwukółowym wózku, uciekając w kierunku rzeki Tsing-Ho. Matka cesarza w pośpiechu zgubiła szal i swoje pantofelki!... Biedny „Syn Nieba“ aż do miasta Hsun-Hoa żywił się tylko ryżem i wodą! Dopiero w Hsun-Hoa władca Chin, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, zatrzymał się i miejscowi mandaryni dostarczyli mu niezbędnych środków do dalszej ucieczki, t. j. aż do miasta Si-Ngan Fu, dawnej stolicy sławnych przodków: Czeu, Tsyn, Han, Suy i Tang. W rok później po podpisaniu traktatu przez Li-Hung Czang'a, cesarz powrócił wraz z rodziną do Pekinu, okrążony przepyszną świtą i licznym dworem, wlokąc za sobą przeszło trzy tysiące wozów rozmaitego bagażu! Towarzystwo francusko-belgijskie kolei żelaznej Hankeu Pekin oddało do jego dyspozycji dwadzieścia wyzłaczanych wagonów!... Pierwszy to raz od czasu, kiedy Chiny istnieją, władca Chin jechał koleją żelazną. Pierwszy to raz także poddani chińscy mogli oglądać oblicze swego Syna Nieba!...

Oddział nasz wkracza na ulicę konsulów europejskich. Idziemy z wielkim tryumfem: trębacze trąbią marsza francuskiego, żołnierze maszerują w takt z bronią na ramieniu. Ulica również szeroka,

długa i pusta. Tu i owdzie natrafiamy na barykady, opuszczone przez bokserów; jedna z nich jest tak wysoka, że musimy ją obejść, przechodząc przez mieszkania sąsiednich domów. Nareszcie oddział zatrzymuje się przed ambasadą francuską i ustawia broń w kozły. Kilkudziesięciu Europejczyków wychodzi na nasze spotkanie. Krzyczą „Vive la France!“ Generał salutuje ich szablą; jesteśmy bardzo wruszeni... Wielkie ożywienie, rozmowy, łzy, uściski... Jakaś pani przyskakuje do mnie i całuje mnie po rękach. Panowie przynoszą kosze wina dla żołnierzy. Pani Pichon, żona francuskiego ambasadora, jest tak zdenerwowana, że traci kilka razy przytomność. Wszyscy są jeszcze pod wrażeniem oblężenia, które zostało przerwane zaledwie przed godziną w chwili, gdy kawaleria indyjska pierwsza ukazała się na tyłach bokserów! Zdala ciągle słychać wystrzały i huk armat: to jest oblężenie Misji katolickiej Pey-Tang'u, na której oswobodzenie wkrótce wyruszymy.

W ambasadzie czas mile schodzi; każdy opowiada swoje przygody i maluje okrucieństwa oblężenia przez bokserów. Żołnierze przyrządzają kawę. Dla uniknięcia rabunku generał obstawił ulicę silną wartą. Miał rację, gdyż wszystkie najpiękniejsze magazyny i składy są pozostawione otworem, bez właścicieli; można wozami zwozić jedwab, wazy artystyczne, broderie, inkrustacje, wykwintne porcelany, rzeźbione misternie meble, biżuterie etc., etc.

Około godziny 9-ej wpada do ambasady zadyszany pewien Chińczyk, katolik, któremu udało

się wymknąć niepostrzeżenie z obłożonej Misyi. Przybywa od biskupa Favier z prośbą o natychmiastową pomoc. Opowiada, że katolicy umierają z głodu i że przeszło 3,000 bokserów oblega katedrę. Konsul hiszpański, najstarszy wiekiem, nie radzi jednak rzucać się z naszą garstką na oswobodzenie Misyi. Generał waha się, wreszcie decyduje zażądać od generała Stössla wzmocnienia swojego oddziału. O godzinie 10-ej jadę z generałem do obozu rosyjskiego. Generał Stössel, który nie rozumie ani słowa po francusku, przyjmuje nas bardzo serdecznie, ale przeprasza, że, pomimo najszczerzej chęci, nie może nam dziś pomódz; za to jutro, skoro świt, wyszle do naszej dyspozycji cały batalion strzelców pod dowództwem pułkownika Bema. Wracamy o godzinie 2-giej. Zaczyna być późno. Generał prowadzi przeto nasz oddział wraz z kilkunastu ochotnikami cywilnymi z ambasady w pobliżu *Wrót żółtych*, po za którymi właśnie znajduje się Misya katolicka Pekinu.

Oddział rozkłada się obozem pod murami „zakazanego miasta“; jutro rano dopiero wyjdziemy na oswobodzenie Misyi. Tymczasem żołnierze budują drabiny z bambusu do wdrapywania się na mury na dzień jutrzejszy, szykują wieczerzę i zaczynają układać się do spania.

W nocy, kiedy smacznie chrapie, przychodzi znowu do mnie mój ordynans Lassale, budzi mnie delikatnie i powiada:

— Mój kapitanie, czy pan kapitan nie chciałby czasem pieniędzy?

Nieco rozmarzony, narazie nie wiedząc o co chodzi, odpowiadam:

— Pieniędzy? Owszem—a dlaczego?

— A bo nasi ludzie—mówi—odkryli w pobliżu piwnicę taką głęboką, jak ten dom, całą zawaloną srebrem! Wszyscy biorą, co mogą!

I w tejże chwili na dowód pokazuje mi przy świecy kawał srebra wielkości pięści i ulanego w formie łódki. Oczom nie wierzę!

— Co ty powiadasz?!—krzyknę przerażony.—A, złodzieje, czekajcie!

Wyskakuję na ulicę, pędzę jak strzała do wskazanego miejsca. Rzeczywiście jest piwnica, głęboka jak dom, cała zasypana srebrem! Ludzie, jak mrowisko, kręcą się naokoło i gwałtownie nappychają swoje tornistry i kieszenie! A więc wymyślam, grożę sądem, rozpędzam, przedstawiam, że to, co robią, nie jest godne francuskich żołnierzy etc. Ludzie patrzą na mnie, wahają się, w końcu zaczynają z żalem oddawać zrabowaną fortunę i niezadowoleni rozchodzą się po obozie. Stawiam wartę, raportuję o całej sprawie generałowi i wracam do łóżka.

Nazajutrz o 5 ej rano ruszamy w stronę Pey-Tang'u; po drodze batalion pułkownika Bema przyłącza się do nas. Idziemy z kwadrans po opustoszałych, brudnych ulicach. Cisza głęboka. Zaczynamy podejrzewać, że bokserzy, przestraszeni może, opuścili miasto. Wyszedszy jednak na szeroką, lecz krótką aleję, prowadzącą do *Wrót Żółtych*, nagle słyszymy szelest, coś w guście zbliżającego się cyklonu, i w tejże samej chwili spostrzegamy, że sto-

jące za nami drzewa jakąś nadnaturalną siłą ogala-
 cają się z liści. Są to kule nieprzyjacielskie!... Na
 szczęście, że bokserzy, jak już wspominałem, strze-
 lają zbyt wysoko. Moja rota bez komendy rzuca
 się naprzód. Jednym tchem biegnie aż do mu-
 ru Wrót Żółtych, gdzie już ją kule nie osiągną!
 Inne rotę idą za jej przykładem. Generał każe po-
 stawić dwie armaty na 15 metrów od Wrót i wali
 w nie wystrzał za wystrzałem. W tymże samym cza-
 sie ludzie zaczynają wdrapywać się na mury po
 drabinach. Po kilku minutach przestarzałe, osłabio-
 ne wiekami wrota rozpadają się w kawałki. Wkra-
 czamy do Misyi. Strzelanina okropna! Bokserzy
 z dachów niemal wszystkich domów obsypują nas
 kulami bez wytchnienia i wreszcie widząc, że to
 nas nie wstrzymuje, zapalają miasto! Ale Misyja jest
 oswobodzona: biskup Favier, wysoki, z dużą, białą,
 patryarchalną brodą wychodzi na nasze spotkanie,
 trzymając wielki krzyż w rękach! Kilkuset Chiń-
 czyków chrześcijan idzie za nim, a w końcu tego
 tłumu pułkownik japoński Szyba, który będąc przy-
 padkiem zaskoczony w Misyi oblężeniem, bronił jej
 dzielnie do ostatniej chwili. Radość nie do opisa-
 nia! Chińczycy katolicy rzucają się, przez wdzięcz-
 ność, na kolana przed wpadającymi do Misyi żoł-
 nierzami. Biskup błogosławi obecnych. Wszystkim
 łzy kręcą się w oczach!...

Tymczasem bokserzy bronią się rozpaczliwie
 i nieustępują z miejsca. Połowę mojej rotę wysyłam
 z porucznikiem na tyły bokserów; drugą połowę
 zatrzymuję do gaszenia pożaru, który, szerząc się,
 zaczyna nam coraz więcej dokuczać. Nagle czuję

ciemność przed oczami; czuję, że tracę przytomność!
 Z obawy, żeby nie upaść tuż przy ogniu, przecho-
 dzę jak pijany na drugą stronę ulicy, opieram się
 o jeden z domów i tak stoję, oddychając z trudno-
 ścią. Obok leży zabity podoficer rosyjski. Powoli
 mój stan chwilowego omdlenia, prawdopodobnie
 z gorąca, poczyną stopniowo ustępować. Otwieram
 oczy, widzę jednego z naszych żołnierzy, niosącego
 kubek z wodą. Zbliżam się ku niemu, proszę o wo-
 dę. Żołnierz podaje mi kubek. I podczas, gdy ja,
 delektując się, piję łyk za łykiem, żołnierz przez
 ciekawość zagląda przez szpary do owego domu,
 poczem półgłosem oznajmia mi, że w środku siedzą
 czatujący bokserzy. Lecz w tejże chwili słyszę wy-
 strzał, wychodzący z zewnątrz, wystrzał, który bie-
 dakowi formalnie zrywa połowę czaszki. Mózg pa-
 dającego rozwinął mu się na plecach, jak rozpusz-
 czone włosy dziewczyny!... Fakt ten daje mi dużo
 do myślenia: gdybym był dłużej poczekał, ta kula
 stanowczo była przeznaczona dla mnie, a jednak
 w gruncie nie była mi przeznaczona, bo zniszczyła
 innego... Wkrótce potem, wszedłszy do nieszczęsne-
 go domu, znaleźliśmy w nim rzeczywiście dwunastu
 bokserów, oraz w jednym rogu izby powieszoną
 Chinę. Przeciąłem natychmiast postronek, ale już
 zapóźno! Dusza Chinki uleciała w krainę Buddy!
 Mój podoficer schował starannie postronek do kie-
 szeni, jako *porte-bonheur*.

Na ulicy kule świszcza, ogień bucha, domy
 wała się z trzaskiem, krzyki, walka w całej pełni!...
 Jeden z moich kolegów (kapitan Marti), ciężko ran-
 ny w nogę, wraca z placu, opierając się na dwóch

żołnierzach. Przechodząc prosi, żebym objął dowództwo jego rotę. Rota kłęczy za barykadą i strzela do bokserów, ukrytych za inną barykadą naprzeciw. Obok rotę Marti, stoi także rozwinięta za barykadą, na lewo, rota rosyjska. Kilku zabitych ludzi leży na ziemi, a między nimi kapitan strzelców B., ranny w piersi. Zwracam się więc do żołnierzy po rosyjsku, wyznaczam dwóch mówiąc, żeby kapitana odnieśli do ambulansu. Patrzą na mój mundur francuski, dziwią się, ale kule świszczą — nie ma czasu do stracenia, kapitana odnoszą, inni strzelają dalej pod moim dowództwem. Pułkownik Bem, który obserwował tę scenę z daleka, przysyła innego kapitana rosyjskiego na miejsce rannego. Nowoprzybyły przedstawia mi się w bardzo zły francuszczyźnie i wypowiada nazwisko tak czysto polskie, że bez wahania pytam go po polsku:

— Czy pan z Warszawy?

— Nie panie, z Odesy! — odpowiada niezmiernie uradowany.

Ściskamy się po bratersku i bez żadnych komentarzy każdy powraca na swoje stanowisko.

Bokserzy poczynają słabnąć, w końcu cofają się w stronę Marmurowego mostu. Pchamy się za nimi! Przed mostem spotykam kilka namiotów chińskich. Przeglądam, pod jednym z nich znajduję oficera chińskiego i trzech bokserów, którzy przerażeni rzucają się przedemną na kolana, błagając o życie. Jestem sam jeden. Bokserów zostawiam w spokoju, a oficera prowadzę za warkocz, jako więźnia do generalnego sztabu. Generał pozwala mi zachować jego piękną oryginalną szablę na pamiątkę...

Wpadamy na most Marmurowy. Przed nami odkrywa się śliczny widok. Most harmonijnie zbudowany z białego marmuru przerzyna długie jezioro, pokryte kwiatem białego lotusu! Naprzeciw wznosi się wspaniały pałac rotundy, należący do księcia Czuan. Obok — stuletni cienisty park, w którym cesarskie sarny i jelenie, wystraszone hukem wystrzałów, biegają stadami. Zdała, na lewo, na wzgórzu widać Pejta, świątynię, posiadającą formę ogromnej butelki, okrażoną kioskami, przeznaczonymi dla mandarynów, artystów sztuk pięknych. Wreszcie w głębi spostrzega się górę Mey-Czen, inaczej zwaną „górami węglaną“ dlatego, że parę set lat temu była usypana z węgla przez mieszkańców Pekinu, na wypadek oblężenia miasta przez Tatarów podczas zimy. Jezioro dookoła jest malowniczo obsadzone mnóstwem kiosków, świątyń i pagód, kryjących się w cienistych ogrodach. Na jednym z kiosków Pejty, mój porucznik, wysłany na tyły bokserów, wywiesił chorągiew francuską, którą witamy z zapałem!

O godzinie 3-ej wszystko się kończy. Huk armat cichnie, tym razem ostatecznie. Pekin należy do Europejczyków! Ostatnia setka bokserów pada u wrót „zakazanego miasta“, nie chcąc ani się poddać, ani cofaniem w głąb sprofanować tej części stolicy, która od wieków uważana jest jako święta i dostępna wyłącznie dla książąt krwi panującego domu.

W godzinę później zainstalowałem się ze sztabem generała Frey'a w „pałacu cesarskich przodków“.

Przed wschodem słońca pobiegłem jeszcze na szczyt góry Mey-Czen, oddalonej zaledwie o 500 metrów od naszej nowej kwatery. Ta góra podczas kilkomiesięcznego pobytu w Pekinie stała się mojem ulubionem miejscem rozmyślań.

Ze szczytu obejmuję wzrokiem niemal całą stolicę Chin. Naprzeciw — „miasto żółte“ (dwór cesarski), którego dachy, pokryte żółtą emalją, zdają się przy zachodzącym słońcu płynąć w locie. Z wewnątrz żółtego miasta wysuwa się „miasto fioletowe“, rezydencja samego cesarza, pokryte emalją fioletową. Na prawo w dali sterzą dumnie wieże oswobodzonej katedry Pey-Tang'u. Na lewo u stóp góry i obok parku biblioteka, muzeum, akademia, a w głębi daleko, daleko — obserwatorium astronomiczne. Wreszcie wokół cały Pekin ze swymi małymi domkami, okolony potężnym murem, którego szerokość pozwala prowadzić po nim dwa wozy obok siebie zupełnie swobodnie.

Cieszę się, że bitwa się skończyła! Cieszę, że jestem pierwszym i prawdopodobnie ostatnim Warszawianinem, mającym prawo ze szczytu Mey-Czen podziwiać tę stolicę, która od sześciu prawie wieków tajemniczo ukrywa się przed wzrokiem Europejczyków!...

Szkoda, że moja Donia nie jest przy mnie, że nie może dzielić moich wrażeń i mego wzruszenia!... Zostawiłem biedactwo samą, daleko, w Tonkinie, między obcymi... Mój wyjazd na wyprawę był tak nagły... niespodziewany... W ostatnim liście, który otrzymałem od niej przed miesiącem, podczas bombardowania Tien-Tsinu, donosi

mi, że smutek jej nie ma granic, że ciągle czuje się bardzo niespokojną i że wkrótce postara się wyjechać do ambulansu francuskiego do Nagazaki na koszt rządu, jako należąca do francuskiego Czerwonego Krzyża, skąd może zdoła dotrzeć nareszcie do Tien-Tsinu, ażeby ze mną się połączyć...

Podczas mego pobytu w Pekinie zwiedziłem prawie wszystkie pałace cesarskie, obserwatorium, świątynie etc. Zaznajomiłem się z kilku Chińczykami, pełnymi głębokich myśli i szlachetnych uczuć; przepędziłem z nimi wiele przyjemnych chwil i, pomimo bokserów, wywiozłem ze stolicy chińskiej szereg sympatycznych wspomnień, o których długo możnaby gawędzić i pisać... Ale — już późno; list mój zaczyna przybierać niezwykle rozmiary; przeto opowiem resztę innym razem, przy sposobności. Do widzenia!

V.

Wioska Ké Roï.

Thi-Ko, 6 stycznia 1908 r.

Dwa tygodnie temu opuściliśmy sanatorium Quang-Yen. Przed powrotem do Dap-Kao postanowiliśmy z Donią odwiedzić naszych przyjaciół, mieszkających w Mon-Kay, na granicy Chin południowych. Do Mon-Kay jedzie się parowym statkiem, urządzonym z przepychem, a sama podróż jest nadzwyczaj interesująca, gdyż statek przepływa niemal całą, jedyną w swoim rodzaju na kuli ziemskiej zatokę Along. Zdala zatoka prezentuje się bardzo

imponująco: jest to prawdziwy las oddzielnych skał, które, wychodząc z głębin morza, przedstawiają wyjątkowo dzikie i malownicze krajobrazy. Czasami skały, wielkości kilkopiętrowych zębatach domów, tworzą jakby szerokie ulice starożytnej stolicy w ruinach; zdala widać olbrzymie, pokryte mechem pomniki, świątynie, osadzone na dziwacznych kolumnach, place publiczne i t. p. To znowuż, między skałami, usłanemi zielenią, w której skaczą radośnie małpy i papugi, podróżnik spotyka potężne otwory, w rodzaju scen teatralnych, wewnątrz których wychyla się głęboka panorama, złożona z mnóstwa fantastycznych gmachów, ustawionych jeden za drugim, tworząc nieskończenie daleką perspektywę. Co chwila uderzają podróżnika jakieś niespodzianki. Niektóre skały w formie bizantyjskich kopuł są tak podmyte przez balwany, że oś, łącząca je z podwodną częścią, nie przechodzi grubości 50-ciu centymetrów; mają przez to formę kolosalnych grzybów, które za paręset lat prawdopodobnie zwałą się w głębinę morskie i znikną z powierzchni. W pewnych miejscach balwany, pracując przez wieki, powydryżały tunele długości kilkunastu metrów. Do takich tuneli można wjechać łodzią, i wówczas z przeciwnej strony podróżnik odkrywa cyrk lub głębokie ponure jezioro bez wyjścia, szczelnie okolone wysokimi prostopadłymi skałami. W jamach tych skał kryją się rozmaite morskie potwory. W tej to właśnie zatoce, zgodnie z opowiadaniem niektórych marynarzy, można spotkać owe sławne węże morskie, posiadające długość 30-tu metrów i grubość zwyczajnej łodzi (?). Według podań annamskich,

w zatoce Along żyje także potężny smok Annamu (drakon), bóg wody.

Oprócz zewnętrznych krajobrazów w skałach znajdują się grotty i pieczary. Do jednej z nich znanej tu pod nazwą „Grotty cudów“, pojechaliśmy następnego dnia z Donią *sampanem* (łodzią). Z powodu śpiezastych kamieni do samej skały łodzią dobić nie można, i poczciwi rybacy zmuszeni byli przenosić nas na plecach. Wejście do grotty jest położone dosyć wysoko, na 20 metrów ponad wodą; chcąc się do niego dostać potrzeba wdrapać się po wysokich w skałę schodach. Grota, złożona z kilku części, posiada przeszło 400 metrów długości i tworzy seryę sklepień, przypominających niezmiernie wysokie nawy kościelne, feerycznie ozdobione stalaktytami i stalagmytami. Pierwsze sklepienia są oświetlone światłem dziennym z różnobarwnym odcieniem, środkowe, zupełnie ciemne, zwiedzaliśmy z pochodniami. Niegdyś ta grota służyła za schronienie morskim rozbójnikom.

W głębi zatoki Along leży miasteczko Hong-Aj, zawierające dwie oryginalności: primo — źródło słodkiej wody, które wytryska na kilkanaście metrów od brzegów morza. Po każdym przypływie mieszkańcy, ażeby móc korzystać ze źródła, muszą czekać na odpływ morskiej wody, która to źródło zalewa regularnie raz na dzień; — secundo — kopalnie kamiennego węgla pod gołym niebem. Wogóle węgiel czerpie się w głębokościach ziemi; w Hong-Aj zaś istnieją góry, sformowane kompletnie z kamiennego węgla, który pojawia się nawet na powierzchni.

W Mon-Kay przepędziliśmy trzy dni w miłym towarzystwie pani i pana kapitana Dussaut, dawnych przyjaciół z Paryża. A obecnie od tygodnia odpoczywamy na starych śmieciach i z tęsknotą obliczamy, kiedy nareszcie będziemy mogli powrócić do Europy i do Polski. Prawdopodobnie, po Wielkiejnocy wyjedziemy do Kantonu, a następnie do Japonii, skąd przez Pekin i Irkuek udamy się do Warszawy i Zakopanego. Strasznie to jeszcze daleko!... Tymczasem pracujemy, jak możemy: Donia uprawia salate, ja sztukę wojskową, a w niedzielę zwiedzamy sąsiednie wioski i pagody.

Wczoraj rano, wyjechaliśmy spacerem do wioski Ke Roï, leżącej na prawym brzegu rzeki Song-Kao, o trzy kilometry od nas. Cała wieś, utopiona w zieleni, jest okrażona, jak wszystkie wsie annamskie, wysokim wałem, ulepionym z gliny i ogrodzonym bambusami.

Bambusy są tak gęsto sadzone, że nawet, wdrapawszy się na wał niepodobna przedrzeć się do środka. Wsie tonkińskie posiadają zwykle dwa, a czasem trzy wejścia, przez wąskie, grube, drewniane wrota, które straż wioski starannie barykaduje na noc, tak, że po zachodzie słońca nikt z obcych do wsi dostać się nie może. Trzeba długo parlamentować ze strażą, która przy najmniejszym podejrzeniu wali natychmiast w bęben i budzi wszystkich mieszkańców. Ten system praktykuje się od kilkunastu wieków i ma na celu zabezpieczenie wsi od nocnych napadów złodziei, rozbójników i tygrysów. System wałów jest używany na całym wschodzie Azji; w niektórych miejscowo-

ściach, szczególnie w Chinach, wały te są budowane z kamienia i w wielkich miastach dochodzą do wysokości 16-tu metrów. Wreszcie wszyscy słyszeli o potężnym murze, okalającym państwo Chińskie.

Ibsen twierdzi, że silny człowiek jest ten, który może żyć sam jeden. Uczeń annamscy są przeciwnego zdania: podług nich silny człowiek jest ten, który może żyć ze wszystkimi ludźmi. Życie samotne—to marzenie, nie znające przeszkód; życie z ludźmi—to walka, od której tylko słabi i wycieńczeni usuwają się do klasztorów. Tę myśl wypowiedział jeszcze Konfucyusz na 550 lat przed Narodzeniem Chrystusa i na jej podstawie ułożył swój kodeks, w którym określił ze szczegółami sposób zachowania się każdej jednostki: w rodzinie, we wsi i w państwie. Cesarze chińscy, kierując się nauką Konfucjusza, utworzyli „wieś“ (gminę), a cesarz chiński Kieu-Czeu z dynastji Hana (43 roku przed Narodz. Chr.) położył w tej sprawie szczególniejsze zasługi. W późniejszym czasie, kiedy państwo Annamu dostało się pod jarzmo Chin (od 111 roku przed Nar. Chr. do 39 roku po Nar. Chr.) system i prawa gminy chińskiej zostały zaprowadzone w Tonkinie i w Annamie. Organizacya wsi (gminy), stworzona przez Kieu-Czeu, istnieje do dziś dnia, bez żadnej zmiany t. j. przeszło dwa tysiące lat.

Każda wieś, złożona z chat, pokrytych ryżową słomą i zbudowanych z gliny i bambusu, przedstawia, pod względem socyalnym, małą rzeczpospolitą, zupełnie niezależną od sąsiednich wsi i od samego króla. Wieś posiada swego mandaryna (ly-

truong), który załatwia wszelkie sprawy zewnętrzne i administrację rządową. Oprócz tego wieś posiada swoją policję, swoje sądy, szkoły, pagodę etc. Względem rządu mieszkańcy winni zadość uczynić tylko dwu wymaganiom: 1-o zapłacić w swoim czasie podatek i 2-o dostarczyć w swoim czasie żołnierza. Jedno i drugie, ściśle oznaczone raz na zawsze, proporcjonalnie do liczby mieszkańców, może uleść zmianie tylko ze wstąpienia na tron nowego królewskiego domu. Istnieją wsie, których życie, otulone bambusami, płynie tak spokojnie, że od ośmiuset lat nie zaznały żadnych wstrząśnień, z wyjątkiem odrodzenia generacji. Europejczyk, symbol szybkości i ulepszenia, patrząc na te ciche, długowieczne gniazda ludzkie, nie może wyjść z podziwu. Annamska cierpliwość, łagodność i spokój są przysłowiowe na wschodzie Azji. „*Times is money*” nie ma znaczenia w tym kraju. Cała działalność annamskich chłopów koncentruje się w dwóch obowiązkach: powiększyć rodzinę i uprawiać ryż.

W delcie rzeki Czerwonej, której obszar przewyższa Holandję, tonkińskie wioski, dzięki puszystości okrążających je bambusów, prezentują się jakby wyspy na tle jasno-zielonego oceanu pól ryżu. Wogóle ryż i bambus w Azji przedstawiają dwa elementy tak ważne, że bez nich egzystencja Azyatów byłaby zupełnie zwieczniona. Bambus jest drzewem uniwersalnym. Lekki, wysmukły, powiewny, z drobnym listkiem naszej wierzby zdala przypomina olbrzymie, czasami dwudziestometrowe, zielone pióro strusia. Lasy bambusowe są czarowne. Nie posiadają one ani surowej powagi naszych lasów dębowych,

ani melancholii naszych sosnowych; są to lasy bambusowe: uśmiechnięte, wesołe, figlarne, teńjące wieczną wiosną, pomimo podzwrotnikowego słońca! Drzewo posiada bardzo wiele odmian; tutejsi botanicy odkryli już do dziś trzydzieści dwa gatunki. Annamici robią z bambusu wszystko: budują domy, ogrodzenia około domów, meble, sprzęty domowe, laski, kapelusze, buty, tarcze, poduszki, koszyki, wachlarze, siecie rybackie, wędkę, czółna, żagle, dywany, parasole, sznury i liny, miotły, szczotki i szczoteczki do zębów, cybuchy i fajki! Młody bambus służy jako pożywienie dla ludzi i dla zwierząt. Z bambusu wyrabiają także papier; z liści bambusu robią materace i nieprzemakalne okrycia i t. d., i t. d.

Bambus jest dwojakiego rodzaju: męski i żeński. Męski jest wewnątrz pełny i służy za materiał budowlany; żeński jest pusty. Z żeńskiego wyrabiają naczynia do noszenia wody, kubki, rury do skrapiania łąk, pól etc. Moja Donia urządza z żeńskiego bambusu dosyć oryginalną ozdobę do naszego salonu. W tym celu nacina bambus między węzłami, nalewa go wodą i w wodę wkłada rozmaite kwiaty: hybiskusy, lotosy, glicyny, bez japoński etc. Tworzy się w ten sposób wspaniały o dwóch metrach długości bukiet, który, dzięki wodzie, może łatwo być zachowany z całą świeżością przez kilka dni. Postawiony w rogu salonu lub zawieszony na ścianie, bukiet taki robi zawsze bajeczny efekt, nawet nad brzegami Song-Kao!...

Bambus kwitnie raz na sześćdziesiąt kilka lat, potem zaraz sechnie i umiera. Jego towarzyskość

i solidarność jest znana na całym Wschodzie. Bardzo rzadko spotyka się bambus, rosnący samotnie. A jeżeli jeden z nich gdziekolwiek zakwitnie, to wszystkie inne bambusy w sąsiedztwie także kwitną prawie jednocześnie, poczem wkrótce schną i umierają jeden za drugim, aż do ostatniego. Wzruszające!

Z innych gatunków drzew w Annamie zasługują na uwagę: najpierw — drzewo żelazne, znane pospolicie pod nazwą drzewa trumien, nadzwyczaj twarde i bardzo kosztowne; zwykła deska tego drzewa, tu na miejscu, kosztuje około 250 franków; robią z niego trumny dla ludzi zamożnych. Następnie — heban, drzewo *tek*, drzewo *trak*, drzewo *gô*, drzewo *lim*, drzewo kamforowe i drzewo santalowe. Z tych dwóch ostatnich wyrabiają często kufry i pudelka, bo silny zapach tych drzew odstrasza mole i inne robactwo.

Oprócz wymienionych drzew budowlanych istnieje jeszcze bardzo wiele drzew owocowych. Z owoców, spożywanych przez Europejczyków, należy wymienić przedewszystkiem banany, które łatwo dostać cały Boży rok; owoc tani i pożywny; posiada mnóstwo gatunków. Tutejsi mieszkańcy żywią się przeważnie bananami, rybą suszoną i ryżem. Banany rosną nie na drzewie, lecz na roślinie zupełnie mięsistej, rodzaj okrągłego tataraku, wysokości kilku metrów i grubości nogi ludzkiej. Liście bananowe posiadają długość, dochodzącą do dwóch metrów. Na każdej roślinie zwiesza się olbrzymie grono, zawierające około 80 bananów.

Następnie w maju pojawiają się *letezy*, rodzaj

naszych śliwek, zawartych w czerwonych karbowanych skorupkach. W czerwcu *mangi* — dziwny owoc; ma smak, że tak powiem, marchwi z cukrem, nieco skropionej terpentyną... lecz smak ten wydaje się o wiele wstrętniejszy w opisie, niż wręczystości; dowodem, że wszyscy Europejczycy delectują się mangami. Drzewa mangowe, bardzo ciemiste, przypominają nasze lipy, z tą różnicą, że są pokryte grubym, błyszczącym liściem. Lipiec jest sezonem ananasów; w tym sezonie można dostać na targu za kopiejkę dwa pyszne ananasy. Ananasy hoduja w ogrodach i na polach, jak u nas kapustę; krzew ananasu, na pierwszy rzut oka przypomina drobny kaktus. W sierpniu — *gojawy*, małe, białe jabłuszka, z niezmiernie silnym zapachem. We wrześniu — jabłka cynamonowe, duże jak pięść, nalane słodką bitą śmietaną. W październiku — *kaki*, ceglastego koloru brzoskwinie. W listopadzie — *papaje*, owoc smaczny i zdrowy, zawierający w sobie duży procent papainy; liście papajowe trawiają z łatwością surowe mięso. Kwiat żeński papai zamyka się szczelnie w chwili, gdy przelatujący owad przypadkiem wpadnie w jego kielich i pożera go bez najmniejszego śladu. Wreszcie całą zimę sprzedają mandarynki, drobne soczyste pomarańcze.

Ale... wracam do opisu wsi annamskiej.

Każda wieś posiada swoje tradycje, zwyczaje i swego ducha-protektora. Protekcja duchów jest dosyć kosztowna. Ażeby uprosić opiekę lub zmianę nieprzychylnych okoliczności dla rolnictwa, wieś musi składać duchowi ofiary, połączone z wielkie

mi ceremonjami, procesją, fajerwerkami, wykwin-
tnem jadłem i piciem.

We wsi Ly-Xa, kilka wieków temu był po-
chowany pewien król Tonkinu z całym swoim dwo-
rem i ośmiu faworytami końmi. Jako król, zgodnie
ze zwyczajem, kazał sobie jeszcze za życia wybu-
dować wspaniałą grobowiec. W tym celu wznosił
na górze imponującą pagodę, opartą na czterdziestu
kolumnach, misternie rzeźbionych z drzewa *tek*
i bogato pokrytych czerwonym lakierem i złotem.
Pagoda była zbudowana w stylu chińskim, z wklęsłym
dachem, na którego wierzchołku dwa straszne smo-
ki z porcelany szczerzą zęby do wiecznie (również
z porcelany) promieniającego słońca. Cztery rogi
dachu są, jak zwykle, zadarte w górę dla odpe-
dzania sił nieczystych. Wejście do pagody wycho-
dzi, jak przykazał Buddha, na południe. W głębi
na tronie siedzi król w otoczeniu swego dworu,
a przed nim ośm ulubionych koni, wykutych z mar-
muru, broni przystępu do grobu jego królewskiej
mości. Otóż, wieś Ly-Xa nie mogła sobie inaczej
postąpić, jak uznać tamże pochowanego króla za
swego protektora. W czasie suszy, powodzi lub
nieurodzajów wieś, nie śmiać niepokoić samego
króla, a jednak pragnąc mu sprawić przyjemność
dla uproszenia łask i protekcji, zadecydowała wy-
prowadzać na spacer jednego z jego ulubionych
koni. Każde wyprowadzenie konia powinno odbyć
się zgodnie z przepisaniem od wieków ceremonja-
łem, który z procesyami i wystawnym obiadem dla
ubogich kosztuje przeszło 1,000 piastrow (około 1,000
rubli). W dodatku, jeżeli duch króla, pomimo

wszystkiego, trwa w swoim gniewie, to czasami po-
trzeba wyprowadzić i drugiego konia, cena—2,000
piastrow, a nawet i trzeciego—3,000 piastrow i t. d.
aż do ostatniego konia—cena 8,000 piastrow!..

Wczoraj misyonarz Thong, Annamita, należący
do misyi hiszpańskiej w Kê-Roï, oprowadzał nas po
wsi i tłumaczył różne prawa, z których korzysta
każdy ojciec rodziny annamskiej we własnej rodzi-
nie. Prawa te, uznane przez kodeks państwowy,
w dawnych czasach były nieograniczone. Za pano-
wania jednak króla Minh-Menh (1820—1841 po N.
Chr.) prawo śmierci nad dziećmi zostało odwołane
i ojciec rodziny, chcąc ukarać jedno ze swych dzie-
ci śmiercią, zmuszony był, przed egzekucją, otrzy-
mać aprobację sądu wsi, w której mieszkał. Obec-
nie, protektorat francuski stara się o zupełne znie-
sienie tego prawa. W każdym razie, na mocy tra-
dycji, uświęconych przez długie wieki, dziś jeszcze
ojciec rodziny jest wszechwładnym panem. Nigdy,
naprzykład syn, będąc nawet już w podeszłych
latach, nie ośmieli się ani usiąść, ani przemówić
w obecności swego ojca, bez pozwolenia. A gdy
przemawia lub przechodzi obok, to zawsze przed
nim schyla głowę, jak przed jakim bóstwem.

We wsi Dong-Lam, przed dwudziestu laty,
syn uderzył matkę za to, że przez jej wpływy
i intrygi był zmuszony poślubić kobietę sobie anty-
patyczną. Po tym fackie, wystraszony przestęp-
stwem, jakie popełnił względem starej matki, syn
opuścił kraj i uciekł do Chin. Po kilku jednak
latach, stęskniony, postanowił wrócić do domu
i prosić ojca o przebaczenie. W tym celu kupił

z ciężko uzbieranych na obczyźnie oszczędności wspinała trumnę, którą zamierzył ofiarować ojcu przy powrocie do rodzinnej chaty. Ofiarowanie trumny rodzicom jest uważane w Azji, jak już o tem wspominaliśmy, za najwyższy dowód miłości synowskiej. Pomimo tego, ojciec pozostał nieprześląganym: po powrocie syna zwołał całą rodzinę; w jej obecności rozkazał synowi położyć się do ofiarowanej mu trumny, poczem zabił wieko i pochował niedobrego syna, zdala od rodzinnej wioski. Sąd gminy, przez wzgląd na podeszły wiek ojca (przeszło 60 lat) zaaprobował wyrok i uwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności.

Pomimo jednak tych wyjątkowych okropności i niezmiernie głębokiego szacunku dzieci względem rodziców, rodziny annamskie są bardzo liczne, odznaczają się wielką solidarnością i oddychają życiem prawdziwie patryarchalnym. Miłość domowego ogniska jest tu tak wysoce rozwinięta, że kawalerowie i panny stanowią wyjątki: są uważane za istoty godne pogardy i rzadko przyjmowane w przyzwoitych domach. Co prawda, związek małżeński w tych krajach nie przedstawia żadnych trudności. Małżeństwo nie jest ani Sakramentem kościelnym, ani obrzędkiem cywilnym; jest to święto rodzinne, prosta ugoda zawarta między dwiema rodzinami albo dwiema osobami, ugoda, której łamać nie wolno bez wystawienia się, zgodnie z tradycjami, na zupełne wyrzucenie ze wsi; człowiek zaś, wykreślony ze wsi, staje się przez to samo wiecznym włóczęgą, bo inna wieś nie może go przyjąć bez gruntownego zbadania całej jego przeszłości. Dawniej w Annamie istniało tylko 200 rodzin, dwieście nazwisk,

uznanych przez króla. Obecnie z powodu przemieszki obcego elementu, liczba rodzin wzrosła do 450, które po paru tysiącach lat zrodziły około 20 milionów Annamitów.

Ojciec Thong zatrzymuje nas przed bogatą chatą jednego ze swych przyjaciół. Chata istnieje od 200 lat! Starannie utrzymywana, spada ona z ojca na syna bez żadnych szczególnych zmian.

Przed chatą ośmiu chłopaków igra z prosiętami. Najstarszy ma lat dziesięć. Każdy chłopak, ubrany w zbyt krótką koszulkę, ażeby okryć właśnie to, co potrzeba, posiada głowę zupełnie wygoloną z wyjątkiem długiego pęka włosów pośrodku. Ten pęk włosów, podług tutejszych zabobonów, ma podobno ułatwiać dobremu duchowi wyciągnięcie ciała z grobu w razie, gdyby dyabli chcieli je porwać do piekła. Powiadają, że dla tych samych powodów, wszystkie narody Azji noszą włosy długie, a Chińczycy warkocze.

Wechodzimy do wnętrza chaty. Starsi członkowie rodziny siedzą przy śniadaniu. Cała rodzina wstaje przez szacunek, przyjmuje nas z głębokimi ukłonami i prawie natychmiast przynoszą nam herbatę w mikroskopijnych filiżaneczkach (akurat na dwa łyki), którą tu jest we zwyczaju zawsze przyjmować, jeżeli nie chce się obrazić gospodarzy domu. Wogóle, w Annamie i w Chinach herbatę podają gościom zaraz przy wejściu, jak u nas na przykład krzesło.

W Annamie zalewają herbatę liściową. Zamożniejsi piją herbatę z kwiatu, która formą przypomina ziarnka pieprzu. Bogaci mandaryni zapra-

wiają kwiat herbaty kwiatem lotosu, nadając jej bardzo przyjemny delikatny zapach.

Mieszkanie annamskie składa się zwykle z dwóch lub trzech pokoi, położonych jeden za drugim tak, że chaty wiejskie i domki mieszczańskie są stosunkowo wąskie, ale za to bardzo głębokie.

W pierwszym pokoju stoi, na stopę nad ubitą ziemią (podłogą), obszerny stół, zajmujący prawie $\frac{1}{3}$ pokoju. Stół ten zwykle jest pokryty rogózką i na nim cała rodzina, siedząc z nogami po turecku albo w kucki, pracuje, jada i sypia. Obiad — złożony z kawałków wieprzowiny, suszonej ryby, sałaty, owoców, rozmaitych galaret i sosów, z których znany *niok*—*mam* zastępuje naszą musztardę, a ryż nasz chleb—jest przynoszony na stół od razu, wszystkie potrawy w małych miseczkach ustawione na jednej dużej, okrągłej mosiężnej tacy. Każdy członek rodziny ma swoją miseczkę ryżu; inne potrawy są wspólne. Ojciec rodziny wybiera sobie najlepszy kawałek, następnie najstarszy syn, później matka i w końcu inne dzieci po starszeństwie. Annamici chwytają pożywienie dwoma pałeczkami, zastępującymi nasz widelec, które maniulowanie wymaga pewnej wprawy.

W drugiej izbie jest ustawiony ołtarz przodków, na którym spoczywają starannie ułożone tabliczki pamiątkowe zmarłych członków rodziny. W następnej izbie mała kapliczka, poświęcona Buddzie, usłana kwiatami, po środku, zwykle na kwiecie lotosu siedzi opasły sam Buddha, wyrzeźbiony z drzewa. Przed Buddą pali się w olejnej lampce

wieczny ogień, utrzymywany przez ojca rodziny. Pierwsze trzy pokoje oddziela od reszty mieszkania t. j. kuchni, spiżarni i t. d., dosyć rozległy pokój, bez dachu, rodzaj podwórza. Na podwórku, obfitość kwiatów i skarłowaciałych drzew ustawionych w wazonach, a pośrodku, kamienny basen z wodą i małemi rybkami. Basen, oprócz tego, u zamożnych wieśniaków i mieszczan, ozdabia sztuczna grotta, przedstawiająca zawsze jakiś pejzaż krajowy. Na grocie rosną skarłowaciałe drzewka, między którymi, tu i owdzie, znajdują się ustawione domki, mostki, ludzie i zwierzęta z porcelany. Przy każdej niemal chacie rośnie kilka drzew chlebowych, palm arekowych i bananów, a w głębi za chatą ogród warzywny, oraz pole trzciny cukrowej, kukurydzy, patatów, oleju rycynowego etc. Wreszcie całą wieś okalają olbrzymie pola ryżu, złożone z niewielkich czworoboków. Ryż zbierają dwa razy na rok.

Uprawa ryżu jest dosyć skomplikowana.

Przedewszystkiem, ryż prosperuje na wilgotnym gruncie, na szlamie, potrzebuje przeto bardzo wiele wody. Z tego powodu rolnicy są zmuszeni dzielić pola na drobne, ćwierćmorgowe czworoboki, w rodzaju sadzawek, i następnie dobrze kombinować przelewanie wody w odpowiednim czasie z jednego czworoboku do czworoboków sąsiednich. Przelewanie odbywa się w pierwotny sposób za pomocą wydłużonej szufli, uplecionej z bambusu i zawieszanej na trójnożu. Oprócz tego ryż jest sadzony jak nasza salata, a nie siany, czyli, że rolnik musi najpierw starannie przygotować rozsądę, którą w miesiąc po zasianiu przesadza małemi kępkami po po-

lach. Wszystkie te operacje wymagają nadzwyczajnych zachodów i ciężkiej pracy.

Nieraz podziwiałem tamtejszych rolników, którzy, pomimo pozornej, delikatnej budowy fizycznej, mogą całymi dniami, a nawet przy księżycu w pełni nocami pracować w polu, grzęznąć po kolana w mule, oddychając bezprzerwanie miazmami febry i będąc wystawionymi na podzwrotnikową temperaturę, oraz na okropny blask słoneczny. Wogóle, ten naród liliputów, pomimo słabego odżywiania się, posiada niezrozumiałą dla fizjologów wytrzymałość fizyczną. Z Mu-Niok do Mon—Kay, jechałem łodzią pod wodę z rybakami, którzy wiosłowali pięć godzin bez odpoczynku! A stanowczo żaden z Europejczyków nie zdolny byłby zadośćuczynić karierze Ké—Xé, t. j. człowieka, który ciągnie innych ludzi w dwóchkółowym wózku, biegnąc jak koń całą godzinę bez wytchnienia! Nadto dowiedzionem jest, że naród annamski mnoży się i wzrasta o wiele szybciej, niż narody europejskie: podług ostatniej statystyki, na 100 zamężnych kobiet w Niemczech, rodzi się 30 niemowląt, w Anglii—26, we Francji—16, a w Annamie—170!...

Raz u gubernatora na balu tańczyłem z córką mandaryna 5-ej klasy, która miała na imię Moy-Sau, co oznacza „szesnaście“. I rzeczywiście była szesnastą z rzędu w rodzinie... Co nie przeszkadza, że rasa annamska jest zupełnie zniewieściałą. Nasze polskie wyrażenia „tęgi chłop“, albo „tłusta baba“, wcale nie istnieją w tutejszym języku. Wszyscy szczupli i mali. Podróżnicy europejscy nie mogą odróżnić mężczyzn od kobiet. Jedni i drugie chodzą

w szerokich pantajlonach, są bez żadnego zarostu i posiadają długie, prześliczne, krucze włosy, związane z tyłu w gruby węzeł. Jediną różnicą na pierwszy rzut oka są kapelusze: mężczyźni noszą małe kapelusiki, spiczaste z bambusu, a kobiety, duże, zupełnie płaskie. Wogóle, im większy kapelusz damski, tem większy sztyk! Tutejsze panie z półświatka ubierają się w olbrzymie kapelusze, jak przetaki, w które śmiało można ustawić 12 szklanek herbaty ze spodkami.

W rozmowie Annamici są zawsze nadzwyczaj uprzejmi, słodcy i grzeczni. Język annamski, bardzo śpiewny z powodu różnorodnych akcentów i intonacyi, dzieli się na język mówiony i język pisany.

Misjonarze hiszpańscy wprowadzili do Annamu, 50 lat temu, tak zwany system Nkog—Gneu (wymawiaj — *nkogniu*), który pozwala pisać łacińskimi literami język mówiony. Sposób ten, o wiele upraszczający naukę języka, rozprzestrzenił się coraz więcej i obecnie jest ogólnie używany przez wszystkich Europejczyków. Język pisany, a raczej język mandarynów, jest jednozgłoskowy. Każda sylaba oznacza pewną myśl, pewną ideę; łączenie stosowne tych rozmaitych myśli i idei tworzy mowę literacką wschodu. Każda sylaba, t. j. każda myśl, jest reprezentowana przez dosyć skomplikowaną literę, a raczej znak.

W języku annamskim istnieje 400 głównych znaków (liter), koniecznych do porozumienia się listownego w kwestyach codziennego życia i około 3,000 znaków dla tworzenia dzieł literackich. A są słowniki, które zawierają przeszło 60,000 znaków,

(język chiński). Niektóre znaki (litery), wymagają 17 uderzeń pędzla! (Na Wschodzie piszą tuszem i pędzlem, a nie piórem).

Potrzeba przynajmniej 4 godziny codziennej pracy przez kilka lat, ażeby móż się nauczyć jako tako czytać i pisać... Ten język mandarynów, złożony ze znaków, wyrażających pewne myśli, przedstawia tę własność, że jest językiem uniwersalnym na Wschodzie Azji; dzieło literackie napisane przez Annamitę, jest zrozumiałe dla Japończyka, Chińczyka etc., chociaż te narody rozmawiają różnymi językami. To jest tak, jak u nas w Europie, naprzykład liczba „dwadzieścia sześć“. Wypowiedziana po polsku, nie może być zrozumiała przez Francuza, który ją nazywa „*vingt six*“, ale, będąc przedstawiona na papierze przez znak „25“, staje się zrozumiałą dla wszystkich narodów Europy.

Po skończonej wizycie i rozmaitych objaśnieniach, ojciec Thong, żegnając nas, zakończył filozoficznie temi słowy:

— Jak państwo widzicie, rodacy moi nie są nieszczęśliwi. Nie znając innej egzystencji, żyją z dnia na dzień w spokoju, pracy i bez szczególnych kłopotów. Obawiam się, że wasza cywilizacja rozbudzi w ich sercach i umysłach nowe, dotąd nieznane uczucia, ambicje i pragnienia, które rozszerzą koło ich cierpień i zakłócą ich kilkowiekowy spokój. Wszak jest to pewnikiem, że im człowiek więcej wykształcony i inteligentny, tem więcej w życiu cierpi bo jaśniej widzi i głębiej odczuwa fałsz i egoizm. Nawet ogół bierze na uwagę ten

stan i chętnie, w nagrodę, ofiarowyywa inteligencji najkorzystniejsze miejsca.

A jednak, cały świat dąży, pcha się do tego wykształcenia, do rozwoju inteligencji! Czyż dlatego, ażeby coraz więcej cierpieć? Widocznie, że natura nie znosi życia bez trosk...

VI.

Raison d'être de l'armée.

Dap-Kao, d. 2 lutego 1908 r.

Zima. Sezon drobniutkiego deszczu, zwanego przez Francuzów „*le crachin*“. Wilgoć przejmującą, w powietrzu smutek i spleen. Chodzimy w ciepłych europejskich ubraniach. Na kominku pali się ogień. Temperatura nie przewyższa 8-iu stopni Celsjusza. Nasze psy, Koj-Tot, Menty i kot sijamski Moj-Den, leżą przed kominkiem i wygrzewają się przy ogniu. Donia robi rachunek z kucharzem, a ja po raz drugi odczytuję list, otrzymany z Tokio od pułkownika japońskiego, Harada. Znałem go, jako majora w Pekinie, w 1900 roku. Dzielny oficer, skończył wyższą szkołę wojskową we Francyi i służył wówczas przy sztabie generała Jamaguczy'ego. Serdeczny stosunek, jaki mnie łączył z panem Haradą, pozwolił mi zabrać bliższą znajomość z generałem japońskim.

Generał, stosunkowo wysoki, barczysty, siwa-wy, z nieodstępem cygarem w ustach, robił, na

pierwszy rzut oka, wrażenie człowieka znudzonego, zaspanego, apatycznego, a nawet, że tak powiem, mało inteligentnego. To też na zebraniach międzynarodowych dowódców w Pekinie, które często odbywały się w ambasadzie japońskiej, traktowano generała Jamaguczy'ego trochę „sans façon“, a Niemiec oficerowie wyrażali się o nim nawet z pewnem lekceważeniem. Ci jednak, którzy mieli sposobność poznać go lepiej, twierdzili, że to człowiek wyjątkowych zdolności.

Pewnego dnia, generał francuski Frey powierzył mi paczkę listów, znalezionych w pałacu wodza bokserów, generała chińskiego Tong-Fu-Siang, prosząc, ażebym takową odniósł osobiście do rezydencji generalnego sztabu japońskiego. Generał Jamaguczy przyjął mnie ze zwykłą sobie gościnnością, a dowiedziawszy się od majora Harada, że jestem Polakiem, zaprosił na herbatę i cygara. Od tej chwili odwiedzałem generała dosyć często. Generał znał historię naszego narodu w głównych zarysach i nieraz, w dyskusjach, gdy nie podzielał mego zdania, wypowiadał nasze staropolskie „veto“. W późniejszym czasie miałem sposobność skonstatować, że wielu Japończyków, czy to ze względów politycznych, czy też z innych powodów, interesuje się historią Polski. Raz nawet, przejazdem, w Nagasaki byłem nadzwyczaj zdziwiony, kiedy, wstąpiwszy na pocztę dla odebrania moich listów, urzędnik pocztowy japoński, kładąc je przedemną, zwrócił się do mnie, mówiąc po polsku: „Proszę wielmożnego pana!“ Niestety, okazało się, że ten polyglot japoński, oprócz wymienionego frazesu, nic więcej po

polsku nie umiał. Pomimo to, odchodząc, ukloniłem mu się z głębokim szacunkiem.

Przed wyjazdem z Pekinu złożyłem generałowi Jamaguczy'emu ostatnią wizytę pożegnalną. Siedzieliśmy, pamiętam jak dziś, w jego biurze, przy wejściu do ambasady na lewo, na kanapie: generał, major Harada i ja. Przed nami mały sześciokątny stolczyk japońskiej roboty, zastawiony przyborami do herbaty i cygara.

— A więc, ostatecznie, opuszcza pan Pekin? — zapytał po pewnej pauzie generał.

— Tak panie generale — odrzekłem nieco zasmucony. — Jutro, skoro świt, wyjeżdżam do Tong-Czeu, skąd rzeką Pej-Ho powoli dopłynę do Tientsynu, a następnie w Taku wsiądę na okręt, jadący do Indo-Chiny.

— Zechciej mi pan też powiedzieć otwarcie, przed pożegnaniem, jakie wrażenie pan wywozi z kilkumiesięcznej obserwacji zebranych sił międzynarodowych w Pekinie?

— Oh, pan generał wie doskonale — odpowiedziałem — że heroizm i organizacja armii japońskiej, podczas całej tej ekspedycji wzbudzały ogólną admirację u wszystkich Europejczyków. Co zaś do ostatnich, to przedewszystkiem podziwiałem bratnią zgodę, z jaką te narody maszerowały razem od chwili wstąpienia na ziemię chińską.

— Ja sędzę — rzekł generał — że to jedyny fakt w historii powszechnej, fakt, który daje dużo do myślenia. Serdeczna zgoda Azji, Europy i Ameryki pod murami stolicy najstarszego państwa kuli ziemskiej, może być uważana, jako dowód postępu cy-

wilizacyi, jako awangarda uniwersalnej zgody dalekiej przyszłości, do której obecne społeczeństwo dąży, od niejakiegoś czasu, z wyjątkowym zapalem.

— Jakto, czyżby pan generał wierzył w wszechświatowy pokój i w usunięcie armii? — zapytałem nieco zdziwiony.

Generał spojrział na mnie badawczo, wzruszył ramionami, poczem, uśmiechając się ironicznie, rzekł:

— Wszechświatowy pokój, drogi panie, nie jest myślą nową, nie jest waszym wynalazkiem. W alfabecie chińskim, od paru tysięcy lat istnieje znak, który tę ideę przedstawia. Nasi dalecy przodkowie nauczali w Azji przedtem jeszcze, aniżeli poznali swych braci z Zachodu, że wszystko tu pod słońcem dąży do udoskonalenia; że ideał, do którego nasza ludzkość powoli się zbliża, jest utworzenie jednej olbrzymiej rodziny ziemskiej, opartej na absolutnej sprawiedliwości, rodziny ucheiwej i pracowitej, której członkowie, kochając się wzajem, posiadaliby za cel: ogólny dobrobyt, postęp nauki i rozwój sztuk pięknych! Czyli, że z czasem granice państw muszą się usunąć, nienawiść międzynarodowa ulotnić z horyzontu, a wraz z nią zniknąć wojna i armia! Do tego krańcowego punktu świat kroczy samochem na mocy kosmicznego prawa, którego fundamentem są: prawda i sprawiedliwość! Nikt dziś nie wątpi, że sprawiedliwość jest uczuciem najsubtelniejszym; jego zarodek przejawia się u każdej żyjącej istoty, niemal z przyjściem na świat, nawet zwierzęta odczuwają go instynktownie, a ludzie najmniej ucywilizowani, uchylają przed niem głowy!

Sprawiedliwość jest podstawą porządku, pracy, postępu i społecznego dobrobytu. Ona wyradza szacunek i wzajemne zaufanie między najdzikszyimi narodami. Ona pozwala kierować tłumem, prowadzić potężne armie, dla których służy bodźcem heroizmu i kwintesencją siły moralnej żołnierza, stanowiącej od dawna prawdziwą, niezwykłą duszę każdej armii. Idealna sprawiedliwość, obiecwana w życiu pozagrobowym, już od wielu wieków pociąga ku sobie miliony wyznawców zdolnych do najwyższych poświęceń i ofiar! Wszyscy, bez wyjątku, łakną, wzdychają do sprawiedliwości! Otóż, może pan być moralnie przekonany, że dopóki ludzkość nie dopnie apoteozy swego udoskonalenia t. j., epoki, w której to uczucie zagłuszy i zapanuje nad wszystkimi innymi uczuciami ludzkimi, *armia istnieje musi*, czyli, że obecnie wszelka praca w kierunku usunięcia armii winna być uważana jako marne słowo, strata czasu, jako dziecinne marzenie i utopia! Boć, w gruncie, dlaczego narody prowadzą między sobą wojnę? Wojna, tak jak walka o byt, może być wywołana tylko dla dwóch przyczyn. *Primo*, albo dla polepszenia zajmowanej sytuacji, albo, *secundo*, dla utrzymania już zdobytej sytuacji. Czyli, że pierwsi zawsze atakują, a ostatni są zmuszeni stawać do obrony. Pierwsi więc najczęściej wypowiadają wojnę. Gdyby nie było napaści, obrona byłaby zbyt bezcelowa, a przez to samo, wojna znikłaby sama przez się z naszego padole płaczu. Jednem słowem, chcąc uniknąć wojny, potrzeba przede wszystkim pozbyć się tych, którzy napadają. Ci zaś napadają dla tego, że są niezadowoleni. Ergo

dla usunięcia wojny, świat przedewszystkiem powinien zadość uczynić niezadowoleniu, bo dopóki egzystować będą niezadowoleni, wojna także istnieć będzie! Z drugiej strony, dziś już widzimy jasno, że liczba niezadowolonych jest czynnikiem odwrotnie proporcjonalnym do sprawiedliwości ludzkiej. Im większa będzie sprawiedliwość, tem mniej będzie niezadowolonych. Tak, że w końcu, gdy ludzkość dojdzie do szczytu swego udoskonalenia t. j. do epoki w której uczucie sprawiedliwości, jak już powiedziałem, zapanuje nad wszystkimi innymi uczuciami narodów kuli ziemskiej, niezadowoleni znikną zupełnie, a wraz z nimi znikną także napad, obrona i wojna! jednakże, dopóki prawdopodobieństwo wypowiedzenia wojny wisi ponad nami, armia, nie może być być usuniętą. Jest to kasta ludzi, która z uniwersalnego placu bitwy cofnie się ostatnia! Jej usunięcie będzie finałem walki narodów i zarazem hasłem rozkwitu „międzynarodowej“ miłości. Powiadam „międzynarodowej“, pragnąc wypowiedzieć myśl moją w języku nowoczesnym, gdy w owej oddalonej epoce, wyraz „narodowość“ również zniknie i zamieni się we wspomnienie czasów dzisiejszych, czasów barbarzyńskich!...

Przy tych słowach generał powstał, wargi mu drżały, oczy sypały iskry, zdawał się być olbrzymem. Małutki major Harada zerkał na mnie z ukosa, prostował się jak struna, czuł się dumny ze swego generała.

Siedzieliśmy czas jakiś zamyśleni. Generał przechadzał się po pokoju, w milczeniu, wreszcie, zapaliwszy nowe cygaro, ciągnął dalej:

— Mnie się zdaje, że postępowcy na tymczasem mogliby armię zostawić kompletnie w spokoju...

Poczem, nagle zwracając się ku mnie, zapytał:

— A czy pan się domyśla, dlaczego my rozprawiamy o tej kwestyi tutaj z tak wielkim spokojem i swobodą? Bardzo proste, bo nikt nam nie przeszkadza. A nikt nam nie przeszkadza dlatego, że za drzwiami mojego pokoju stoi żandarm na straży i broni do niego wejścia. Dzięki temu żandarmowi, żadna osoba obca, żaden złoczyńca nie ośmieli się zakłócić bez przyczyny naszego spokoju z obawy, że natychmiast może być schwycony, oddany pod sąd i, zgodnie z prawem, wtrącony do więzienia... A gdybym spróbował tego żandarma zupełnie usunąć, to bezwarunkowo sam musiałbym pracować z nabitym rewolwerem w ręku. Jeżeli zaś, zamiast jednego złoczyńcy, pojawiłoby się kilku, to nie tylko mój spokój i całe moje mienie, ale nawet moje życie, wystawione byłoby na ogromne niebezpieczeństwo! Wreszcie, jeżeli zamiast kilku złoczyńców pojawi się ich milion? Milion dobrze uzbrojonych i odpowiednio wydresowanych?! To, ażeby im godnie stawić czoło, muszę zebrać co najmniej tyłuż obrońców, również dobrze uzbrojonych i wydresowanych, w przeciwnym bowiem razie, zgwałcę mój dom, rozerwą w kawałki i zagrabią wszystko, wszystko, prócz wiecznego wstydu i upokorzenia! Otóż, dopóki w społeczeństwie istnieć będą: złoczyńca i ambicya niezadowolonych, w pobliżu naszego domu musi zawsze stać żandarm na straży, ażeby protegować naszą pracę i spokój. Dom, to

kraj, żandarm—to nasza armia, którą winniśmy szanować, bo, dzięki jej obecności, możemy swobodnie pracować i rozwijać ogólny dobrobyt naszego kraju. Oto obecny stan moralny Europy, Azji, Afryki, Ameryki i Australii!... Armia więc jest konieczna, konieczna nie dlatego, ażeby wiecznie wygrywać innym, lub napadać i niszczyć słabszych, lecz na to, ażeby pełnych wygórowanej ambicji napastników trzymać w należytem oddaleniu i przez to usuwać motywy wojny dla własnego kraju. Gdyby Chiny posiadały siłę zbrojną, odpowiednio zorganizowaną do liczby swoich mieszkańców, nie miałbym honoru rozmawiać tu z panem, bo ani Francya, ani Japonia nie ośmieliłyby się zbliżyć do chińskiego muru. Ci, którzy dziś starają się podkopać jednolitość armii narodowej, pechają własną ojczyznę w szpony nieprzyjaciół, bo, usuwając armię, nie usuną wojny. Wojna, a raczej konieczność rujnowania innych, jest uczuciem ludzkim, które właśnie zmusiło narody do utworzenia regularnych sił zbrojnych; przeto, nie o armię chodzi, lecz o zniszczenie uczucia wojny, z jej bowiem zniszczeniem, armia, jako narzędzie nieużyteczne, sama się usunie. Leadery, osłabiając regularną armię, zamieniają ją stopniowo na hordy mersenerów, na milicję, na bandy rozbójników, ale uczucia wojny z serc ludzkich nie wyrwą.

— Ja sędzę, p. generale—rzekłem—że ci, którzy starają się zachwiać potęgę regularnej armii, nie zwracają uwagi na ojczyznę. Są to kosmopolici, którzy, nieznając międzypaństwowych granic, mają przedewszystkiem na widoku dobro ludzkości,

która zmusza do abstrakcyi własnego kraju. Oni przypuszczają, że, rozprzestrzeniając idee antimilitarne, przygotowują powoli grunt w społeczeństwie, który z czasem pozwoli wywołać ogólną rewolucję na tym punkcie i zastąpić obecnie istniejące armie przez najwyższy trybunał internacjonalny. Ten trybunał, złożony z przedstawicieli wszystkich narodowości, grałby rolę sędziego pokoju, rozstrzygałby różne kwestye międzynarodowe i wydawał swoje wyroki na mocy odpowiedniego i najwyższego kodeksu. Wykonywanie tych wyroków, będąc obowiązkiem i bez apelacji, opierałoby się na międzynarodowej sile zbrojnej, złożonej naprzykład z 500000 ludzi, utrzymywanych przez wszystkie państwa kuli ziemskiej. W ten sposób kolosalne siły moralne i materyalne, poświęcane obecnie na utrzymanie woj-ska i prowadzenie wojny, byłyby obrócone na oświatę i inne dobroczynne cele dla całej ludności.

— Zapewne, drogi kapitanie — odpowiedział generał — projekt wspaniały i pociągający, gdyż dziś wszysej, bez wyjątku, tak wojskowi jak cywilni, zgadzają się na to, że wojna jest wstrętną klęską dla narodów cywilizowanych, że utrzymywanie z tego powodu armii, która podczas pokoju nie produkuje, jest niezmiernie uciążliwe, ale zrealizowanie tego projektu przedstawia tymczasowo jedną niezwykłą przeszkodę, mianowicie, że głoszone idee nie mogą być przyjęte *wszędzie* z jednakiem zapalem. *Sila jest tak potężnem uczuciem ludzkim, dającym tyle wewnętrzznego zadowolenia, że tylko bezzilni pozwalają sobie proponować coś podobnego!* Projekt mógłby być usku-

teczniony wówczas tylko, gdyby stan moralny wszystkich państw doszedł do jednakowego poziomu. Dlatego też wierzę, że w danej chwili pierwszym najważniejszym krokiem na drodze ogólnego zbliżenia, jest *rozprzestrzenienie uniwersalnego języka*. Z przebiegu rozmaitych najnowszych ewolucyi łatwo spostrzedz, że nowoczesne wysiłki uczonych są przeważnie skierowane w celu powiększenia i ułatwienia komunikacyi międzynarodowej: dzienniki, kolej żelazna, telegraf, telefon, automobil, rower, kierowanie balonów i t. d. dowodzą tego w zupełności. Jedna tylko kwestya rozpowszechniania uniwersalnego języka, którego jednak ważność i korzyści są uznane przez cały świat, nie może jakoś zaaklimatyzować się w życiu społecznem. A przecież, gdyby wszystkie narody rozmawiały tym samym językiem, komunikacya myśli i uczuć została by niezmiernie ułatwiona! Powoli zapomnianoby o różnaitości pochodzenia, o antypatyach dziejowych i, posiadając tylko jeden język ojczysty, narody czułyby się o wiele więcej zbliżone sercem i umysłem, czułyby się *wszędzie* we własnej ojczyźnie uniwersalnej. Sąsiedzi nasi, Rosjanie, mieli szczęśliwą myśl utworzenia języka „esperanto“, którego rozwój pozwala przypuszczać, że z czasem rozplynie się po całej kuli ziemskiej. Gdyby esperantyści zdołali zainteresować panujących i wprowadzić naukę esperanto do szkół rządowych jako język obowiązkowy, kwestya byłaby nawpół rozstrzygnięta.

— Co zaś do „Związku Wszechświatowego Pokoju“ — mówił dalej generał — to mnie się zdaje, że ten narazie oddałby o wiele większe usługi,

gdyby mógł się przekształcić w „Związek Wszechświatowej Sprawiedliwości“. Usiłując przez rozmaite racjonalne środki podnieść stan moralny narodów, rozżarzyłyby iskrę tego uczucia, od którego rozwoju zależy całkowita nasza przyszłość. W chwili gdy ostatni nędzarz, bez względu na pochodzenie i wyznanie, miałby prawo zwrócić się do Związku i przedstawić mu szczerze i otwarcie pasmo swych cierpień, wywołanych przez niesprawiedliwość ludzką, oraz otrzymałby lojalne zadośćuczynienie, wówczas nikt w życiu nie obawiałby się kroczyć drogą prostą i prawą, obmytą z fałszu, bo czułby dotykalnie istotną obecność Boga tu, na ziemi! Ale w tym celu koniecznem byłoby, ażeby taki Związek składał się z osób transcendentalnej wyższości moralnej, nie mających prawa kłamać i przez to wzbudzających uniwersalne zaufanie, ażeby posiadał na wszystkich punktach kuli ziemskiej odpowiednie kursale, oraz środki niezbędne do sprawdzania przedstawianych faktów i oddawania sprawiedliwości każdemu. Poczynając od jednostek, koło jego działalności powiększyłoby swój promień stopniowo i w końcu wszędzie wywalczyłoby potężną siłę, przewyższającą siłę brutalną, tak, że z czasem stałby się prawdziwym, niezwykłym, najwyższym trybunałem ziemskim! Otóż myślę, że uorganizowanie Ligi wszechświatowej sprawiedliwości, dostępnej dla każdego, jest dziś może najbliższym projektem, jakim społeczeństwo winno się zająć na drodze Wszechświatowego Pokoju. Jest to olbrzymi projekt, którego zrealizowanie wymaga pracy wielu pokoleń.

— Winniśmy się przeto uzbroić w cierpliwość i przygotować do wyjątkowych poświęceń. Szczególniej w naszej epoce, gdzie każdy pragnie oglądać i rozkoszować się przed śmiercią owocami owych dążeń i działalności. A przecież w życiu narodów nie chodzi ani o zdobycie sławy przez pana X., ani o zdobycie miliardów przez pana Y., chodzi o przeprowadzenie i dopięcie celu! Wszyscy wielcy promotorzy postępu waleczyli dla dopięcia wzniosłych celów i nieraz umierali na barykadach tej walki, nie osiągnawszy na pozór żadnych rezultatów. Powiadam „na pozór“, boć w gruncie każdy atom pracy pozostawia w życiu ślad, który ułatwia drogę innym tak, że wcześniej czy później oznaczony przez nich cel zostaje osiągnięty! *Nasze egoizm, szukający sławy w zrealizowaniu projektów ogólnej wartości, stworzonych przez nas, jest głównym powodem, że najczęściej kończymy wielkimi nadziejami, mającemi wkrótce się spełnić i któremi oddychamy, niestety, do końca życia, nic dobrego nie zrobiwszy.* Mniejsza o osobę, mniejsza o czas, gruntem jest dopięcie obranego celu. Wszak wasi, nawet najwięksi geniusze nie zawsze potrafili dopiąć swych celów w oznaczonym przez się czasie: Napoleon I, na 100 powziętych projektów, wykonywał zaledwie 65; baron Rotszyld około 50; Bismark—30. Ludzie wysokiej inteligencji i silnej woli dopinają 5, a są tacy, którym udaje się wykonać zaledwie 2 projekty na 300 powziętych! Co prawda—dodał z uśmiechem—niema wcale takich, którzy mogliby powiedzieć, że *pomimo najszczerzych chęci*, nigdy w ni-

czem nie mieli powodzenia... Nie zrażajmy się więc i dążmy bezustannie drogą prawdy ku sprawiedliwości! bo na końcu tej drogi jasno błyszczy Nirwana naszej ludzkości! Tymczasem zaś, dopóki to uczucie sprawiedliwości nie zaćmi wszystkich innych uczuć ludzkich, armia, w jakiejkolwiek bądź formie, egzystować będzie, t. j. jak już powiedziałem, że usunie się z wszechświatowego pola walki jako ostatnia!

— Obecnie—dowodził dalej generał—armia nie tylko, że nie może być usuniętą, ale nawet nie może być zmniejszoną. Ci, którzy twierdzą, jak na przykład generał von der Goltz, pan Bloch i inni, że armia musi być zmniejszoną z powodu olbrzymich wydatków, które pożera we wszystkich państwach, głęboko się mylą. Kto dziś ośmieli się pierwszy rozpocząć te kroki? Mogę upewnić, że gdy przyjdzie dzień, w którym zaczną ograniczać liczbę żołnierzy regularnej armii, jej zupełne usunięcie stanie się kwestyą kilku lat...

Poczem, po krótkim namyśle, znów ciągnął dalej:

— A jednak, z drugiej strony, wydaje się niepodobieństwem, ażeby cywilizowane narody były zmuszone wydawać rok rocznie miliardy przez długie wieki na utrzymanie kilku milionów ludzi, których dotykany pożytek zdaje się przejawiać tylko podczas wojny?! To też podobny stan rzeczy długo trwać nie może! Rozstrzygnięcie tego zadania już dziś krąży w atmosferze. Zadanie polega na ulepszeniu organizacji obecnej armii, ulepszeniu, mającemu na celu *zmniejszenie wydatków, bez*

zmniejszenia liczby żołnierzy. Wkrótce też pojawi się nowa organizacja, osnuta na następującym przynajmniej: Im armia będzie lepsza, tem mniej kosztować będzie państwo, tak, że prawdziwie doskonała armia nie tylko, że nie będzie pociągać żadnych wydatków rządowych, ale nadto powiększy dochody państwa.

Dwa lata temu, jeden z moich młodych oficerów przedstawił mi model nowego obuwia, przeznaczonego dla żołnierzy. To obuwie, na pozór lekkie i trwałe posiadało własność przy manewrowaniu żołnierzy zamieniania się, przez tarcie o ziemię, w elektryczne akumulatory. W ten sposób żołnierze, po powrocie z manewrów, zdejmowali obuwie i składali je w odpowiednio urządzonych magazynach, które koncentrowały zebraną elektryczną siłę na użytek ogólny, mianowicie na oświetlenie miasta, wprowadzanie w ruch rozmaitych maszyn, tramwajów etc. Podług obrachowania mego oficera, każdy żołnierz, po kilkugodzinnym marszu, przynosił do magazynu mniej więcej 5 koni zebranej siły we własnych butach, czyli, że pułk złożony z 3000 ludzi dostarczał codziennie miastu siłę 15,000 koni!... Mój genialny wynalazca marzył o wprowadzeniu w użycie swego obuwia dla wszystkich mieszkańców miasta, czyli, że nawet osoby, przechadzające się po ulicach lub ogrodach bez żadnego celu, przynosiły wieczorem do owych magazynów zebraną przez chodzenie elektryczność i przeto stawały się, chcąc nie chcąc, użytecznymi dla ogółu. Projekt ten zakrawa na anegdotę; w każdym razie dowodzi, że na tej drodze ludzie już pracują i być może, że wkrótce wynajdą coś praktyczniejszego!

Tymczasem, dopóki uczucie sprawiedliwości nie dosięga swojego maximum, zawsze będą egzystowali niezadowoleni, którzy będą prowadzili wojnę, a dopóki wojna egzystować będzie, armia także istnieć musi! Idea zastąpienia regularnych armii narodowych przez jedną tylko armię międzynarodową, utrzymywaną przez wszystkie narody i oddaną do dyspozycji Najwyższemu Trybunałowi, nie może być zrealizowana w danej chwili. Projekt ten zostanie zrealizowany na ostatku, w epoce, gdy wszystkie narody posiadać będą jeden ojczysty język, jeden kraj i jeden cel: ogólne dobro. Armia istnieć będzie do ostatniej chwili; jest to narzędzie, z którego narody korzystać będą najdłużej. Jest przeto niezbędnem, ażeby ta armia była silna, doskonała pod każdym względem i nieuciążliwa do utrzymania. Nadejdzie wkrótce chwila, że stała armia, nie zmniejszając obecnej liczby żołnierzy, przyjmie bezpośredni udział w powiększeniu dobrobytu i bogactwa kraju. Jej utrzymanie, przestawszy być ogólnym ciężarem, pozwoli jej objąć miejsce takie, jakie winna zajmować, zgodnie z prawem powszechnego udoskonalenia, t. j., że pozostanie na straży dla obrony pracy i postępu aż do chwili, kiedy ludzkość dopłynie do apoteozy tego udoskonalenia, a wówczas, czując się bez użytku, sama broń złoży! Oto moja wiara na punkcie przyszłości!

Poczem, nagle, wyciągając obiedwie ręce ku mnie, dodał:

— No, nie chcę pana dłużej nudzić i zatrzymywać! Jedź pan z Bogiem Prawdy i Sprawiedliwości, niech Ku-Anan (matka opatrności) czuwa nad tobą! A jeżeli kiedy powrócisz do kraju, to

powiedz swoim rodakom, że generał liliputów Wscho-du (Japończyków) przesyła im wyrazy głębokiego szacunku i serdecznej życzliwości.

Uściskałem rękę starego wojaka ze wzruszeniem i wyszedłem na ulice Pekinu nieco odurzony. Nie przypuszczałem wówczas, że oglądam generała po raz ostatni w życiu.

W rok potem, dowodząc jedną z fortec pod Paryżem, pewnego dnia otrzymałem z ambasady japońskiej pięknie ozdobiony dyplom, przez który Jego Cesarska Mość Mikado mianował mnie kawalerem orderu „Błogosławionego skarbu”. Do dyplomu było dołączone małe, japońskie, lakierowane pudełeczko owiązane fioletowemi, jedwabnemi frendzlami, w którym spoczywała gwiazda, oznaka mojego orderu.

Pudełeczko ofiarowałem, ku wielkiej uciechy, mojej Doni a order do dziś dnia noszę na piersiach.

VII.

Na manewrach.

Bao-Ha dnia, 15 lutego 1908.

Jesteśmy na manewrach. Okolice górzysta, dzika, zarośnięta gęstym krzakiem i drzewami, między którymi gnieźdzą się pawie, bażanty, jelenie tygrysy. U stóp gór rzeka Song-Thuong przeryna obszerne łąki. Na łąkach kilka tysięcy żołnierzy stoi obozem; ustawili broń w kozły i przygotowują strawę. Ognie buchają, gwar, śmiech, rozmowy, ożywienie ogólne! Muzyka pułkowa gra walc z „Dzwonów Kornewilskich”. Nieco na zachód od obozu leży wioska Bao-Ha, a pod wioską, tuż

przy drodze, wielka pagoda, w której mnóstwo oficerów, (niektórzy z żonami), siedząc lub leżąc na ziemi, formują kilka grup i spożywają obiad. Boy'e, kucharze, żołnierze, ordynansi kręcą się po sali, zmieniają talerze, wnoszą potrawy, grzeją kawę na maszynkach naftowych, odkorkowują z hukiem szampańskie etc. Nasza grupa, złożona z dziesięciu starszych i młodszych oficerów, siedzi już przy kawie, pali cygara i opowiada sobie rozmaite awantury i przygody kolonialne.

Młody porucznik, pan André, wielki admira-tor kobiet różnokolorowych, niedawno powrócił z Afryki. Jest zachwycony Senegalem, gdzie podobno miał ogromne powodzenie między murzynkami. Co prawda, w tamtym kraju mężczyźni, chcący się żenić, muszą wnosić rodzicom narzeczonej znaczny posag (przeciwnie jak u nas). A ponieważ murzyn, żeniąc się, ma przede wszystkim na widoku utworzenie licznej rodziny, której utrzymanie tam niewiele kosztuje, a dużo przynosi, obawia się więc trafić na kobietę niezdolną być matką. Z tego powodu w Senegalu wszystkie panny, matki, są bardzo poszukiwane, rozrywane i są zawsze pewne wyjścia za mąż... Ten dziwny stan rzeczy toleruje się nie tylko w klasie niższej, ale nawet między ludźmi lepiej ubranymi, mianowicie między mulatami i kreolami. Nieraz też, w rodzinach na pozór przyzwoitych i zajmujących wybitne stanowisko w kraju, przedstawiają w salonie pannę X. z dwojgiem lub trojgiem dzieci, przed którą wszyscy obecni schylają głowę z szacunkiem! Przeto powodzenie między murzynkami nie przedstawia szczególnych trudności.

Otóż p. André, przyjechawszy do Annamu, zaraz w pierwszym miesiącu swojego pobytu zrobił znajomość z pewną trupą annamskiego teatru w nadzwyczaj ciekawych okolicznościach:

A propos teatru annamskiego, muszę dodać, że Annam, oprócz królewskiego teatru w Hue, innych stałych teatrów nie posiada. Trupy teatralne wędrują z miasta do miasta, wynajmują odpowiedni lokal i dają swój repertuar. Kobiety do trupy teatralnej należeć nie mogą; role kobiece są zawsze grywane przez mężczyzn. To samo w Chinach. W Japonii, od pewnego czasu, kobiety zaczynają występować na deskach teatralnych, chociaż z wielo mniejszem powodzeniem, niż w Europie. Na dworach królewskich w Hué, w Pnom-Penh i w Bankoku balet, przeciwnie, składa się wyłącznie z tancerek. W Annamie i w Chinach aktorzy, nawet bardzo uzdolnieni, stanowią najpośledniejszą klasę w społeczeństwie i są traktowani z pogardą narówni z żołnierzami i... cyrulikami. Sztuki teatralne posiadają dużo tendencyi i techną wielką moralnością: dobrzy ludzie zawsze są nagrodzeni, a źli zawsze ukarani. Najczęściej są to romanse lub legendy historyczne, zawierający zwykle kilkadziesiąt aktów i obrazów. Z tego powodu przedstawienie trwa bardzo długo, kilka dni i nocy z rzędu, bez żadnej przerwy! Naturalnie, aktorzy się zmieniają, a widzowie przychodzą do teatru z żywnością, herbatą, opjmem i siedzą tyle, ile zechcą. Bilet wejścia płaci się od 3-ch kopiejek do rubla; kontramarek nie wydają, kto raz wyjdzie, a pragnie znów powrócić, to jest zmuszony na nowo płacić. Aktorzy, ustrojeni w bogate fantastyczne kostjmy, wykrzykują swe role przez

gardło, głosem nienaturalnym. Sufler, w ubraniu zwyczajnych śmiertelników, przechodzi się z książką po scenie na palcach; przysiadł tu i owdzie w kucki i podpowiada rolę aktorom. Publiczność nie zna oklasków. Za to w jednym z wybitniejszych miejsc teatru, zwykle zaraz za orkiestrą, siedzi, wybrany przez publiczność poważny spektator, lub znany w świecie literackim krytyk, który w chwilach patetycznych podkreśla zadowolenie ogólne publiczności, waląc z całych sił w potężny, stojący obok bęben. Orkiestra, złożona z dzwonków, blach, bębnów i piszczałek, gra bez przerwy i często zagłusza wypowiadane słowa aktorów jak w naszej operze! W Annamie dekoracyi nie używają: dyrektor teatru, przed zaczęciem każdego obrazu, oznajmia po prostu publiczności, że rzecz dzieje się na morzu, w lesie, w pokoju lub na ulicy miasta. W Chinach, te ostrzeżenia dyrektora zastępują czerwonymi tablicami z napisem: „las”, „morze”, etc. Wreszcie w Chinach istnieje bardzo wiele stałych teatrów, do których publiczność pcha się zawsze z ciekawością. W japońskich teatrach narodowych egzystują prawdziwe dekoracye, światło elektryczne i maszynerye, nie ustępujące europejskim, a nawet pod pewnymi względami przewyższające je. Tak, na przykład, scena zwykle jest okrągła, obracająca się na olbrzymiej osi; tak, że podczas przedstawienia, które odbywa się na przednim półkolu, maszyniści mogą ustawić dekoracye następnego aktu na półkolu tylnym i w chwili zmiany obrazu całą scenę obracającą na 180°, przez co antrakta są nadzwyczaj krótkie.

Otóż, pan André, nie wiedząc, że w teatrach

annamskich aktorki są mężczyznami, zabrał, dzięki niejakiemu panu Dubois, z którym podróżował razem z Francji do Annamu, znajomość z *pewnym primadonną* w nadzwyczaj ciekawych okolicznościach:

A propos tego pana Dubois muszę dodać, że ja także miałem przyjemność go poznać w jednej z moich wycieczek do miasteczka Tien-Yen, gdzie on przebywał od lat kilkunastu. Obecnie pan Dubois jest inspektorem komór celnych w Tonkinie, i mieszka w forcie Port-Valu, miejscowości tak nasianej tygrysami, że, powracając z biura po zachodzie słońca, do swego mieszkania, leżącego o 500 kroków, musi codziennie kazać się odprowadzać przez uzbrojoną eskortę i z pochodniami. Kilka lat temu, w tej okolicy, jeden z poruczników Legii Zagranicznej, powracając ze spaceru, spotkał wieczorem starego tygrysa. Porucznik był siły herkulesowej. Czuł jednak, że wkrótce będzie rozszarpany, postanowił więc drogo swe życie zapłacić. Nie mając przy sobie broni, schwycił za obok leżący, okrągły kamień i zwrócił się śmiało ku tygrysowi. Tygrys, przysiadłszy na zadnich łapach, zaryczał dziko, poczem z rozwartą paszczą rzucił się na ofiarę. Wówczas, w chwili psychologicznej, porucznik oparł się z całą siłą lewą rękę o piersi tygrysie, a prawą, uzbrojoną kamieniem, wpakował z szybkością błyskawicy w głąb rozwartej paszczy, zaszpunktował kamieniem tygrysowi gardło i w ten sposób rozwścieczoną bestię udusił. Tygrys w konwulsjach skonał u stóp jego. Ale, na nieszczęście, przed śmiercią zwierzę zdążył swymi potężnymi pazurami wyrwać porucznikowi pół piersi, rana zaś, nie będąc dosta-

tecznie obmyta antyseptycznymi środkami, zakończyła się gangreną, przyczyniając śmierć nieszczęśliwego oficera. Porucznik żył jeszcze sześć dni po tym wypadku, z których dwa pierwsze w zupełnem obłąkaniu, spowodowanem przez silne wstrząśnienie nerwowe.

W Tonkinie polują na tygrysy najczęściej bez naganki. W tym celu myśliwi śledzą najpierw przez parę tygodni z rzędu i z wszelkimi ostrożnościami miejsce, do którego tygrysy chodzą zwykle pijąc przed wschodem słońca. Następnie, wybrawszy jedną z nocy księżycowych, zbierają się w pewnem miejscu, położonem na kilkanaście metrów od wyśledzonego strumienia i zaraz z wieczora wykopują doły głębokości metra, starannie ukryte w krzakach lub w trawie; doły są szczelnie zamknięte ciężkiem wiekiem z trzema otworami, dla rąk i głowy; każdy myśliwy usadawia się w swoim dole i wszyscy w cichości czekają aż do świtu, to jest, do chwili, kiedy tygrysy przychodzą do wody. W Indyach na tygrysy polują zwykle z naganką i na słońcach odpowiednio tresowanych. Tego rodzaju wyprawy, urządzone przez indyjskich nababów, wymagają około stu słońi, paręset służebników i kosztują mniej więcej 10,000 franków każde polowanie. W miejscowościach, zawierających dużo zwierzyny, tygrysy rzadko rzucają się na przechodniów. Tylko stare, wycieńczone tygrysy, co pożerają ludzi, zdobyć łatwą, nie przedstawiającą oporu. Rok temu, na manewrach, jeden z moich żołnierzy, stojący na pikiecie, został zaskoczony i porwany przez tygrysa; widzieliśmy zdaleka, jak tygrys go unosił, nie mogąc go obronić! W niektórych miejscowościach,

żołnierze odbywają wartę w mocno zakratowanych budkach. Pazury tygrysie, oprawione w złoto lub srebro, służą jako ozdoba dla tutejszych mieszkańców. Jeden z takich pazurów do listu mego dołączam.

Pan Dubois, nie wiele mając do roboty, studjuje nadto psychologję dzikich zwierząt. Podczas mego pobytu w Port-Valu widziałem u niego dwie roczne pantery, zupełnie oswojone. Te pantery, pomimo że należą do rodziny kotów, miały zwyczaj przy głaskaniu lizać ręce głaskających, co jest zupełnie przeciwne naturze kociej. Oprócz tego, bez żadnego wstępnego dresowania, dzięki swej inteligentnej obserwacji, pragnąc, na przykład, wyjść z mieszkania na zewnątrz, otwierały same drzwi z klucza, jak również i spiżarnię z zapasami spożywczymi. Z psami żyły w doskonałej komitywie, nigdy nie ruszały ani ich strawy, ani przeznaczonych dla nich kości, chociaż między sobą pożerały się z zazdrości o najmniejszy kasek.

Pan Dubois posiadał jeszcze inną kolekcję. Tak na przykład dwa razy na dzień, na głos trąbki wojskowej, przed mieszkaniem pana Dubois zbierało się kilkadziesiąt dzików z sąsiedniego lasu. Przyczyną tego rzadkiego faktu była następująca historia: Przed kilku laty, w forcie Port-Valu mieszkali w koszarach dwie rotę Legii Zagranicznej. Legjoniści, dla własnego utrzymania, hodowali parę oswojonych świń dzikich. Dzikie dostawały strawę, złożoną z resztek żołnierskiego jedzenia, dwa razy na dzień, na głos trąbki wojskowej, tak samo jak żołnierze o godz. 10-ej rano i o 5-ej wieczorem. Po paru latach dziki tak się rozmnożyły, że przed wy-

jazdem legionistów z fortu, w ogrodzonym parku żołnierskim znalazło się przeszło 50 par. Nie mogąc zabrać wszystkich dzików z sobą, legjoniści wypuścili większą połowę na wolność, a pan Dubois, mieszkający wówczas w forcie, postanowił nie zrywać stosunków z dzikami: trąbi dwa razy na dzień po żołniersku, jak przedtem, dziki zaś, w nadziei otrzymania jadła, zbierają się po dawnemu przed opuszczonym fortem. Naturalnie, pan Dubois nie jest w stanie wyżywić potężnego stada, ale za to dziki żywią niemal wszystkich mieszkańców w całej okolicy.

Oprócz tego, pan Dubois hoduje kilkanaście ptaków, rodzaj dużych kaczek, zwanych w tym kraju „komoran’ami”, które posiadają wrodzone zdolności, jak niegdyś nasze sokoły, do polowania, a raczej do rybołówstwa. W tym celu pan Dubois wyjeżdża łodzią na odkryte morze, zabiera z sobą klatkę z komoran’ami i na miejscu wypuszcza ich na wolność. Ptaki, latając nisko nad powierzchnią morza, lub pływając po niem, chwytają z nadzwyczajną zręcznością dosyć duże ryby, które przynoszą w dziobach do łodzi, jak nasze psy myśliwskie zwierzyne. Połów jest tak obfity, że zwykle po godzinie pan Dubois powraca do domu z pełnym koszem ryb. Komoran’y w okolicach Mon-Kay i wogóle nad brzegami Chin południowych, są bardzo często używane do połowu ryb morskich, przez tamtejszych rybaków. Każdy ptak na szyi nosi szeroki pierścień metalowy, przeszkadzający mu polować schwytaną rybę. Ażeby jednak ich nie zmęczyć do połowu, po każdym przyniesieniu ryby do łodzi, właściciel udziela ptakowi mały jej

kąsek, lub też z innej ryby, przeznaczonej na ten cel.

Otóż pan André, wylądowawszy z panem Dubois 5-go lipca w Haiphong, udał się koleją żelazną do Hanoi, stolicy Tonkinu z zamiarem wesołego spędzenia dni kilku przed zaczęciem rzeczywistej służby w pułku. Pan Dubois, stary mieszkaniec Tonkinu, *au courant* tutejszych zwyczajów, miał mu służyć za cycerona. Na pierwszym planie zadecydowali zwiedzić „dom tancerek annamskich”. Muszę dodać, że tutejsze tancerki nie tańczą nogami, jak na półkuli zachodniej, lecz rękami, to jest, że stojąc na miejscu, kołyszą się zlekka z boku na bok, wyprawiając przytem w powietrzu rozmaite, nadzwyczaj trudne piruety rękami, w których dłonie i palce grają główną rolę; jest to taniec dosyć monotony i bez wdzięku.

Szalony upał, jak również zbliżająca się burza wraz ze swymi przerażającymi grzmotami, błyskawicami i piorunami podzwrotnikowymi ostudziła pierwotny zapal naszych podróżnych i zmusiła ich do schronienia się tymczasowo w hotelu „du lac”, (nad jeziorem). Jak wiecie, w Hanoi, w środku miasta istnieje obszerne jezioro, pokryte kwiatem czerwonego lotusu, na środku jeziora—mała wysepka, na wysepce pagoda, a w pagodzie, na tronie—genjusz wody i protektor miasta. Jezioro okraża wiele wspaniałych gmachów i hoteli, a między nimi „Hotel du lac”.

Upał zdawał się wzmagać coraz więcej! Co prawda, tonkińskie upały podczas lata, chociaż nie przechodzą nigdy 40 stopni, są jednak, z powodu silnego ciśnienia barometrycznego i wyjątkowej wil-

goci tak przygnębiające, że Europejczycy wcale nie wychodzą z mieszkania między 9-tą rano, a czwartą po południu. Pracując zaś w domu, są zmuszeni co chwila obcierać gąbką pot ciekący z czoła, a od czasu do czasu całe ciało oblewać zimną wodą. Nawet wieczorami kolację trzeba spożywać przy bezprześcannie poruszających się wachlarzach, a w nocy spać jak Bóg stworzył, w łózkach, okolonych muslinem chroniącym od zjadłych, dających febrę moskitów. Pomimo tego, nieraz w nocy mieszkańcy zmieniają koszulę i prześcieradło złane własnym potem. Te upały, przypominające swoim działaniem rzymskie łaźnie parowe, są tak wycieńczające, że z upragnieniem wszyscy oczekują deszczu lub burzy, ażeby choć na parę godzin odetchnąć swobodną pierśią.

Burze podzwrotnikowe odznaczają się straszliwą gwałtownością: Błyskawice trwają czasami całe godziny bez przerwy. Ciemno - niebieskie, grube, sfałdowane chmury, zbliżają się powoli w towarzystwie przerażających grzmotów i piorunów, od których ziemia i domy trzęsą się. Atmosfera, nasycona elektrycznością, wytwarza w sercach wszystkich niezrozumiały niepokój. Paniczny strach ogarnia zwierzęta i bydło, które oszalałe pędzi w rozmaite strony, szukając schronienia. Nieraz ciśnienie powietrza dochodzi do tego stopnia, że gady wypełzają na powierzchnię ziemi. Gwałtowny wichur świszcze, unosi kłęby pyłu, liści, gałęzi i stada przerażonego ptactwa, pozbytego siły kierunku. Złowrogi, groźny szum, przerywany terrotycznym hukiem piorunów, zbliża się coraz szybciej, wreszcie niebo się otwiera, całe potoki wody zlewają ziemię obficie,

a w godzinę potem wychyla się znowu pałace, śmiertelne słońce, wytwarzając nowe parowanie gruntu i nowy, przynębiający upał palmorium'a w oczekiwaniu następnej burzy. I tak ciągle przez całe lato...

Huragany, zwane tu cyklonami i tyfonami, są o wiele straszniejsze!

Raz taki tyfon odczułem na pełnem morzu, podróżując na olbrzymim, francuskim transporcie wojskowym „Schamrock”. Było nas przeszło tysiąc pasażerów. Szczęśliwie, że na pokładzie nie mieliśmy ani jednej kobiety, bo w takich razach rozpaczliwe krzyki i płacze kobiet, samochcąc oddziaływają na zimną krew załogi okrętowej. Tyfon z ulewym deszczem, bez grzmotów i piorunów, porwał nas około 5-ej godziny po południu, zdala od brzegów, w okolicach Indii Wschodnich. Pierwsze uderzenie huraganu było tak silne, że wszystkie żagle pękły, ogromny środkowy maszt z przeraźliwym trzaskiem zwałił się na pokład, a okręt, mający przeszło 100 metrów długości i 13 wysokości, z których 7 zanurzonych w wodzie, pochylił się gwałtownie, że parapet dotykał powierzchni fal morskich. Ośmiu pasażerów, zaskoczonych na górnym pomoście, wichur uniósł na wieki, jak słomki, zdala od załogi! Z każdą chwilą położenie staje się coraz krytyczniejsze: Bałwany, wielkości kilkupiętrowych domów, miotają ze wściekłością okręt, który, skrzypiąc żałośnie we wszystkich swych częściach, pędzi z nieopisaną szybkością w krainy nieznane! Przy każdym bocznym ruchu, zdaje się, że pochyłony okręt nie podniesie się więcej i że wszyscy pójdziemy do dna. W dodatku zapada noc, zwię-

kszając piekielne wycie huraganu ponurą ciemnością! Oficerowie zebrani w salonie siedzą smutni, rozmyślając o swym losie. Stół sali jadalnej zastawiony jakimiś potrawami, przywiązany do stołu sznurkiem, nie pociąga nikogo. Kilku kolegów redaguje testament z zamiarem wrzucenia go w ostatniej chwili w morze w zakorkowanych butelkach. Po salonie przechadza się w galowym mundurze kasjer okrętowy, mówi, że kasę zlikwidował, zamknął ją z 60,000 fr., a klucze od kasy zatrzymał na piersiach; ubrał się w galowy mundur dla przyzwoitego przyjęcia śmierci. Tu i owdzie starzy wojaacy, którzy pozostawili żony i dzieci we Francji, wycierają gwałtownie nosy... Na zewnątrz ciemność, deszcz melancholijnie wali wszyby salonu, od czasu do czasu odłam bałwanu z hukiem zalewa pokład. Przygnębienie ogólne. Wreszcie, około 9-ej, wpada do salonu jeden z kolegów, cały błady i drżącym głosem oznajmia nam, że na triborcie, na samem dnie okrętu, otworzyła się szczelina i że woda sączy się wewnątrz statku; załoga okrętowa „au complet” pracuje obecnie przy pompach, mają wodę już po kostki! W kwadrans potem, zjawia się znów komendant okrętu. Powiada, że z powodu wyjątkowego położenia, wszyscy pasażerowie, bez względu na rangę i stanowisko, muszą wziąć udział w wypompowywaniu wody. Natychmiast schodzimy do piwnic okrętowych, z przerażeniem widzimy, że woda już jest po kolana!... Rzucamy się z wielkim zapalem do roboty, pompujemy rozpaczliwie, poziom wody jednak wcale się nie zmujejsza, przeciwnie, po dwóch godzinach wszelkiego rodzaju wysiłków, woda dochodzi nam do pasa, zalewa do połowy

piece maszyny parowej i ostatecznie wstrzymuje ruch śruby! Niewypowiedziana złość ogarnia nas przeciw losowi, naturze, Bogu, przeciw którym nie potrafimy się bronić i musimy ginąć tak marnie!... Ach, nareszcie, około północy, nurkowie dochodzą do zupełnego zaszpuntowania wszystkich szczelin; poziom wody nie podnosi się więcej!... Radość i nadzieja promieniają na twarzach obecnych!... Wycieńczeni oficerowie otrzymują pozwolenie powrócenia do swoich kajut, dalszy ciąg pracy jest pozostawiony żołnierzom i załodze okrętowej. W każdej kajucie śpi od 2 do 4 oficerów, a raczej drzemie, bo głębokie kołysanie się okrętu stawia nas co chwila w pozycji prostopadłej, albo na nogach, albo na głowie; choroba morska nurtuje wnętrzości; apatja opanowuje serce i umysł... Trwa to parę godzin. Nagle, około godziny 3-ej po północy, słyszę jakiś niezwykajny hałas i ruch, a w minutę potem, jeden z marynarzy, biegnąc od drzwi do drzwi kajut oficerskich, wali w nie pięściami, krzycząc na całe gardło:—„Wszyscy natychmiast wychodzić na pokład”...

Zrywam się na równe nogi, chwytam paczkę z drogiem pamiątkami, chowam ją w zanadrze, wyskakuję na korytarz, pytam, co się stało?!—Stojący obok majtek w rozgorączkowaniu objaśnia, że „bałwany wyrwały i uniosły ster okrętowy i że statek pędzi teraz jak szalony nie wiadomo dokąd, napewno wpadnie na skały i wkrótce rozbije się w drobne kawałeczki!”... Spieszę za innymi. Masa pasażerów zebrała się w kaplicy okrętowej. Widzę, kapelan floty przemawia i błogosławi obecnych, (prawdopodobnie na śmierć). Kilku oficerów marynarki w galowych mundurach przystępuje do Ko-

munii, jeden z nich, ze złamaną nogą, leży u stóp ołtarza! Komendant okrętu tłumaczy zarazem zebrany, że podług jego obserwacji i obliczeń, okręt jest pechany w stronę brzegów Annamu, że najpóźniej za 40 minut wpadnie na skały i zostanie zdruzgotany; nie radzi nikomu do ostatniej chwili wyskakiwać w morze, jeżeli nie chce być zmiażdżony siłą bałwanów o kamienie. Następnie, że ponieważ okręt nie posiada już ani stern, ani żagli, a piece maszyny są zalane wodą, przeto jeden z oficerów, Monsieur de Sivry, od pewnego czasu leje na wodę w piecach znaną oliwę, pali ją, ażeby wzmocnić ciśnienie maszyny parowej; jeżeli mu się uda dać kilka obrotów tylnych śruby, w celu zmiany kierunku okrętu w stronę pełnego morza, to możemy być jeszcze zbawieni. Oliwę leją również na zewnątrz okrętu, ażeby uśmierzyć gwałtowność bałwanów.

— Miejmy nadzieję—dodał.—A teraz ci, którzy wierzą w Boga, na kolana i do modlitwy!

Przy tych słowach cały okręt zadrżał strasznie i w tej samej chwili, przez okna kaplicy, ujrzelśmy przelatującą ze wściekłą szybkością, jak widmo, na dziesięć metrów od nas, ciemną masę jakiejś skały! Na ten widok obecni pobledli, a dwóch żołnierzy, widocznie pod działaniem gorączki, wskoczyło do wody i znikło bez śladu! Lampa kaplicy, ostatnia lampa okrętowa, wypalona do szczętu, zagasła!—Ocknęliśmy się w przygnębiającej ciemności. Pasażerowie, nie mogąc się wzajem obserwować, utracili panowanie nad sobą: tu i owdzie poczęto otwierać szlochając. Powoli brzask dzienny począł wstępować do wnętrza kaplicy; wkrótce uczuliśmy nowe

lekkie wstrząśnienie okrętu, a zarazem usłyszeliśmy kilka obrotów śruby okrętowej... Nadzieja zabiła wsereach naszych! Niestety, obrót śruby został nadany, prawdopodobnie w pośpiechu, w kierunku przeciwnym i zamiast na pełne morze, okręt z całą siłą sunął w stronę czarnych skał, które poczęliśmy jasno rozróżniać na kilkaset metrów od nas! Czyżby wszelka nadzieja już znikła? Nagle, ciemność się zwiększyła, okręt przestał się kołysać, szum burzy i balwanów zdawał się słabnąć w uszach naszych... Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem, jedna myśl, jedno uczucie ośwładnęły wszystkich obecnych: Idziemy do dna, toniemy!... W paru susach wyskoczyliśmy na pokład! I, o dziwo! Okręt pływał spokojnie na powierzchni wody w małej zatoce annamskiej, rodzaj jeziora, okrążonego olbrzymimi skałami, które zupełnie nas odcięły od huraganu. Parę ruchów poprzecznych śruby, danych przez pana de Sivry, szczęśliwie wrzuciły okręt w ten mały basen, który stał się naszym zbawieniem!... Nieopisane, błogie uczucie rozlało się po wszystkich twarzach! Zaczęły się naraz śmiech, dowcipy wzajemne, uściski, radość! Komendant okrętu zawołał pana de Sivry, w obecności wszystkich pasażerów odpiął swój order Legii honorowej, ażeby zawiesić go na piersiach dzielnego marynarza. Nowy cyklon, cyklon radości i wina szampańskiego, pitego za zdrowie pana de Sivry, porwał cały okręt i miotał nim wesoło, aż do wieczora! Mała zatoka, leżąca o parę godzin drogi od portu annamskiego Turanu, pozwoliła doprowadzić okręt do stanu mniej więcej normalnego i odbywać dalszą podróż, aż do portu Haïphong'u w mniej niebezpiecznych warunkach.

Otóż, pan André, przyjechawszy do hotelu... Ale, lepiej, że pozostawię opis tej awantury samemu bohaterowi.

— Pierwsza rzecz, co mnie uderzyła w hotelu „nad jeziorem” — opowiadał pan André, zaciągając się hawańskim cygarem — była nadzwyczajna...

— Tiens, un chasseur! — wykrzyknął nagle, przerywając panu André, jeden z obecnych kolegów...

I w rzeczywistości, zdala, na drodze, ujrzelśmy annamskiego strzelca, galopującego na białym koniku w stronę pagody. Strzelec zatrzymał się przed pagodą jak wryty, zeskoczył z konia, dał leciec boy'owi, poczem, salutując, wręczył generałowi niebieską kopertę.

Generał, przeczytawszy depeszę, spojrzał na zebranych, uśmiechnął się i rzekł:

— Panowie, gubernator donosi mi, że z powodu aliansu z Japonią, rząd Rzeczypospolitej postanowił zmniejszyć liczbę wojska w Indo-Chinach. Przeto, oficerowie, pozostający najdłużej w koloniach, będą natychmiast wysłani na służbę do Francji. Za 5 dni wyjeżdża pierwszy okręt, nie mamy więc dużo czasu do stracenia, a oto nazwiska pierwszych 20 tu oficerów.

Między temi nazwiskami, ja zajmowałem trzecie miejsce! Tak więc, wszystkie nasze projekta z Donią, zwiedzenia Chin i Japonii na tymczasem zostały wywrócone! Pomimo, że jesteśmy przyzwyczajeni do nagłych zmian w naszym włóczęgowskim życiu, decyzya gubernatora narazie bardzo nas zasmuciła. Ale cóż robić? Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi. Musimy filozoficznie zgodzić

się z losem. Tembardziej, że po dwuletnim pobycie we Francji, znowu powrócimy w te strony dla dalszego pełnienia służby w samym Pekinie, czyli, że projekt nasz nie zupełnie upada, lecz zostaje poprostu odłożony.

VIII.

Powrót do Europy

Haiphong, dnia 23-go lutego 1908.

Przed kilku dniami pożegnaliśmy ostatecznie nasze miłe Dap-Kao! Pomimo, że wracamy do Europy, do kraju, do swoich, serce nam się jednak bardzo ścisnęło, gdyśmy po raz ostatni spojrzeli na okrążający nas krajobraz i na dom, w którym od dwóch lat przeżyliśmy z Donią tyle rozmaitych wrażeń i uczuć.

Opuszczając na zawsze te kąty azyatyckie, wychodziliśmy z mieszkania z pewnem wahaniem; oglądaliśmy się ciągle w około, jakgdybyśmy czegoś jeszcze zapomnieli, czegoś, co zabrać z sobą nie można, a co jednak wyłącznie należy do nas... Czuliśmy, że pewną część naszego „ja“ pozostawiamy za sobą. Niewidzialne atomy naszych myśli, projektów i marzeń, snutych między temi ścianami podczas dwóch lat ubiegłych, przykuwały nas do miejsca. I żal nam było rozstać się z nimi, wiedząc, że za chwilę te serdeczne atomy należeć już będą do innych i do bezpowrotnej przeszłości!...

Nasze wierne psiska: Menty, Koï-tot i Ma-bul ofiarowaliśmy kolegom. Kota Moï-Den (prezent

z Bankoku) zabieramy z sobą; Donia ma zamiar zawieść go aż do Gniezna! Biedne kocisko, siedzi właśnie pod stołem w bambusowym koszyku i miauczy żałośnie po... sijamsku. Koty sijamskie odznaczają się od innych kotów kuli ziemskiej tem, że posiadają piękne, w czarnej oprawie, *niebieskie oczy*.

Przed pożegnaniem Dap-Kao asystowaliśmy jeszcze na wspaniałym balu, wydanym przez tutejszych kolegów dla odjeżdżających oficerów. Bal ten był zaszczycony obecnością kilku wybitnych osobistości miejscowych, a między innemi, Jego Excelencya hrabia Liou-Tay, tong-doc (gubernator) prowincji Bacninhskiej. Ten ostatni, nie chcąc być dłużnym, rozesłał natychmiast po balu karty, zapraszające wszystkich oficerów na przyjęcie *monstre* do swego pałacu. Słowo „pałac“ wywołało uśmiech ironiczny pod wąsem zaproszonych, wiedzieliśmy bowiem, że pan tong-doc, pomimo swego wysokiego stanowiska i królewskiego pochodzenia, trzyma się tradycyi annamskich i mieszka w dość szczupłej i niskiej pagodzie swych przodków, poprzedzonej obszernem podwórzem, usadzonem palmami. Lecz pan tong-doc, będąc au courant kursujących naszych złośliwych ploteczek a conto swego pałacu, także uśmiechał się pod wąsem i robił swoje. Otóż zdziwienie nasze nie posiadało granic, gdyśmy w dzień balu weszli po bogatych indyjskich dywanach do czarodziejskiego, w gęście wschodnim urządzonego, prawdziwego pałacu! Pan tong-doc w parę dni poprostu przekształcił swoje podwórze z palmami w zachwycające salony: założył froterowaną podłogę, wytapetował ściany różnokolorowemi jedwabnemi draperiami, zawiesił z takichże mate-

ryi, nad całem podwórzem, w formie namiotu, potężny dach i już! Prawdziwe kokosowe palmy, wyrastające z podłogi sali, były obstawione artystycznymi girlandami japońskich latarni. Starożytne umeblowanie annamskie z hebanu nasadzone kością słoniową i perłową macią dopełniało urządzenia, nadając olbrzymiej sali poważny, uroczysty nastrój azjatyckiej świątyni. W dodatku pan tong-doc zakupił w Hanoi kosztowną kolekcję akcesoriów kociowych, uorganizował wystawny, istotnie królewski bufet, a jako intermède sprowadził, specjalnie na ten dzień, tonkińską muzykę i balet. Madame la comtesse, obsypana perłami, rubinami i brylantami, wystrojona w żółte (kolor królewski) haftowane złotem, annamskie szaty, przyjmowała nas przy wejściu do sali. Tańczyliśmy do godziny 6-ej rano!...

Od trzech dni bawimy w porcie tonkińskim Haiphongu, hotelu „de l'Univers“. Haiphong i Hanoi są dwie stolice bratnie Tonkinu, tak, jak naprz. Kraków i Warszawa, albo też Moskwa i Petersburg z tą różnicą, że Hanoi jest miastem francusko-annamskiem, a Haiphong żydowsko chińskim.

Przed wyjazdem do Europy załatwiamy rozmaite interesy i zwiedzamy miasto. Donia obstałowa u Chińczyka jubilera naszyjnik ze srebrnych sapeków. Sapek jest dawną monetą annamską (mieszanką cynku z ołowiem) wielkości kopiejki i kwadratową dziurką w środku dla nawleknięcia monety na sznurek. Sapek jeszcze dziś kursuje między prostym narodem i posiada wartość $\frac{1}{66}$ kopiejki. Dawniej, przed wprowadzeniem w kurs francuskiego piasra, wszystko tu liczono na sapeki. Tak na-

przykład jajko kurze na targu kosztowało 3 sapeki, czyli że za kopiejkę można było dostać 20 jaj... Kura kosztowała 100 sapeków, czyli 4 grosze i tp., a kto posiadał w kieszeni rb. 200, to był milionerem... Dziś czasy się zmieniły: prosty robotnik obecnie jest zmuszony zarabiać przynajmniej 15 kopiejek dziennie, ażeby módz się utrzymać.

Wczoraj byliśmy na tutejszym targu, bardzo ożywionym. Na targu Annamici sprzedają wszystko, a nawet czyszczą uszy i wyrrywają zęby. Dwóch chińskich dentyków siedzi przy stolikach, zastawionych flakonikami rozmaitych precudnych środków przeciw bólowi zębów i dziąseł; przed nimi, na długim sznurku, wisi mnóstwo już wyrwanych zębów, im więcej zębów, tem większa reklama! Dawniej, dentyści chińscy używali systemu japońskiego, t. j. wyrrywali zęby dwoma palcami: dużym i wskazującym; w tym celu istniała i jeszcze istnieje specjalna szkoła w Pekinie, w której przyszli dentyści rozwijają sobie stopniowo siłę w tych dwóch palcach, wyrrywając gwoździe mocno wbite w mur lub w drzewo. Obecnie ten przyjemny zwyczaj zaczynają zarzucać i często już posługują się instrumentami europejskimi.

Następnie zwiedziliśmy tutejszą chińską pagodę „pracy“, w której znajduje się bezpłatna szkoła elementarna i czytelnia publiczna. Masa różnych dzienników rewolucyjnych leży na stole. Jeden z takich dzienników, wychodzący w Singapor, do listu mego dołączam, jako próbkę obecnej literatury chińskiej. Przed pagodą wisi, wyrzeźbiony z drzewa, olbrzymi antyczny statek, rodzaj naszej arki przymierza, pełen geniuszów. Dopytywałem się

wielu Chińczyków o znaczenie symboliczne tego statku, ale wszędzie otrzymywałem jedną i też samą odpowiedź, że są to pierwsi Chińczycy, uratowani przez Szang-ti (Bóg) podczas wszechświatowego potopu. Podczas naszej obecności, do pagody weszła jakaś stara Chinka. Pomodliła się najpierw stojąco przed patronem pracy, poczem uklękła przed figurą Ku-Auan, dziewicy trzymającej dzieciątko na rękę i, bijąc czołem o ziemię, odmawiała w cichości modlitwę, wyciągając przytem złożone ręce w stronę figury, wreszcie, dla poparcia swej prośby, spaliła w „urnie ofiar“ długą modlitwę, wydrukowaną na żółtym papierze. W chwili, gdy wrzucała w urnę zapaloną modlitwę, bonz pagody uderzył silnie młotem w gong (płaski dzwon), ażeby zwrócić uwagę bogini na składaną na jej cześć ofiarę. Za dawnych czasów Annamici palili na ołtarzach rzeczywiste ofiary. W późniejszym jednak czasie, z powodu upadku materialnego całego kraju, ofiary rzeczywiste zamieniono papierowemi. Obecnie, w każdej małej mieścinie egzystują magazyny, w których fabrykują papierowe pieniądze, buty, różne zwierzęta naturalnej wielkości, ludzi, okręta, a nawet domy i świątynie. Fabrykanci tej specyalności doszli do istotnego arcyzmu i zarabiają bardzo dużo pieniędzy. Przeszłego roku Donia obstałowała w Bac-Ninchie, na rocznicę naszego ślubu, u jednego z takich fabrykantów akcesorya do kotylionu, z których fabrykant wywiązał się znakomicie, na podziw naszych wszystkich gości. Dziś, w niektórych pagodach, szczególnie podczas odpustów, palą taką masę ofiar, że starożytne urny już

nie wystarczają i bonzowie zmuszeni są budować piece kremacyjne.

Wychodząc z pagody, zapytałem niedyskretnie Chinki, o co się modliła?

— Kon-lon, (Jaśnie panie) — odpowiedziała, prosiłam, ażeby nasza Matka miłosierdzia natężyła mego syna jedynaka do pracy, od kilku tygodni bowiem zaniedbał naukę, nie nie robi, tylko pokrywomiu gra w kości.—Muszę dodać, że gra w kości, jest pasją tak pochłaniającą u Annamitów i w ogóle u narodów Wschodu, iż rząd francuski uważał za konieczne tej gry zupełnie zabronić. Tylko 14-tego lipca, to jest w dzień święta narodowego Rzeczypospolitej francuskiej wolno jest grać publicznie. To też w ten dzień Annamici i Chińczycy grają we wszystkich szynkach i na ulicach bez przerwy podczas 24-ch godzin. Dawniej Annamici przegrywali w kości całe swoje mienie, żony, dzieci, a nawet własne ubranie i pewne części ciała, czyli, że wygrywający miał prawo przegrannemu obciąć naprz. ucho, nos, lub palec u ręki albo nogi. Czasami przegrywający, nie posiadając już nic więcej do stracenia, stawiał, w nadziei odegrania się, własną osobę na kości i oddawał się jako niewolnik na pewną liczbę lat lub też na całe życie...

Dzisiaj poszliśmy z Donią obejrzeć okręt „Junnan“ i naszą kajutę. Kajuta na dwie osoby jest umeblowana z komfortem: dywan, dwa łóżeczka, kanapa, stolik do pracy, duża szafa, umywalka, dwa krzesła, kaloryfer i oświetlenie elektryczne. „Junnan“ jest transportem wojskowym i zarazem towarowym. Z tego powodu miejsca dla nas niewiele;

około 800 pasażerów, a tylko 50 miejsc 1-ej klasy przypada na oficerów i ich rodziny. Statek, cały zbudowany z żelaza, posiada 9,000 beczek (18,000 funtów) objętości, 130 metrów długości, 25 szerokości i 15 wysokości, (z nich 7 metrów pograżonych w wodzie). Na środku statku mieści się potężna maszyna parowa siły 4,000 koni; oprócz tego, dwa ogromne maszty dla nawigacyi żaglowej w razie popsucia maszyny parowej. Statek płynie z szybkością 12 węzłów, czyli, licząc każdy węzeł 1852 metry, 22 kilometry na godzinę. Na samym dole okrętu, na 2 metry głębokości, znajdują się zapasy słodkiej wody (rzecznej) do picia i prania, oraz składy węgla, złożone w nieprzemakalnych hermetycznie zamkniętych i od siebie niezależnych kamerach, tak, że w razie wypadku, naprz. rozdarcia się okrętu o podwodne skały, woda morska może zalać tylko jedną lub kilka sąsiednich kamer, co nie przeszkadza statkowi płynąć, bez szczególniejszych trudności dalej, do najbliższego portu dla wykonania odpowiednich reparacyi. Po nad węglem i wodą słodką leżą okrętowe piwnice, naładowane towarami i bagażem; tamże znajdują się łodownie z zapasami spożywczymi (naprz. 1000 funtów kartofli, 10,000 jajek i t. p.), a także pasażerskie pralnie. Następnie na 1-m piętrze, łóeczka pasażerów 3-ej klasy (żołnierzy), łazienki, W. C., i sklep prywatny, w którym sprzedają wino, tytoń i mnóstwo drobnych rzeczy, użytecznych dla pasażerów podczas podróży. Na pokładzie znajdują się: szpital, apteka, warsztaty okrętowe, kuchnie, piekarnia chleba, maszyny do wylądowywania towarów etc., a na przodzie, obora z bydlęm, owczarnia

i kurniki, zawierające w klatkach kury, kaczkę, gęsi, indyki, króliki, gołębie, które mają być spożyte przez pasażerów w czasie długotrwałej podróży. Na pierwszym pomoście leżą: sala jadalna 1 ej i 2-ej klasy, biblioteka, fumoir, salon z fortepianem, oraz kajuty pasażerów 2-ej klasy. Na drugim pomoście, mieszczą się kajuty 1-ej klasy i łodzie ratunkowe (12 łodzi po 60 osób); w każdej łodzi znajduje się kompas, odpowiednia żywność w konserwach i woda do picia w razie rozbicia się okrętu. Wreszcie po nad tem wszystkiem wznosi się pomost i mieszkanie samego kapitana okrętu który, na morzu, posiada władzę nieograniczoną, jest panem życia i śmierci każdego z pasażerów. Mieszkanie kapitana jest zarazem składem wszelkiego rodzaju instrumentów i narzędzi potrzebnych do obrachowań geodezyjnych i kosmograficznych, oraz przyrządów do prowadzenia statku. W salonie 1-ej klasy, nad drzwiami, wisi wielki zegar i mapa marynarska; co dzień, w południe, jeden z marynarzy reguluje ten zegar odpowiednio do długości geograficznej, a na mapie oznacza szpilką, ozdobioną chorągiewką francuską, miejsce zajmowane przez statek na powierzchni kuli ziemskiej. W końcu okręt przez całą swoją długość jest przykryty grubym, podwójnym płótnem, w celu schronienia nieostrożnych pasażerów (wychodzących na pokład bez kasku) od słonecznych insolacyi w krajach podzwrotnikowych.

Nasz okręt odpłynie jutro, w poniedziałek, 24-go lutego, o godzinie 7-ej rano. W Marsylii staniemy około 6-go kwietnia, czyli, że podróż nasza trwać będzie okrągłe sześć tygodni. Po drodze za-

trzymamy się najpierw w Turanie (port Annamu), następnie, w Saigonie (stolica Kochinchiny), poczem w Singaporze (na półwyspie Malaka), w Kolombo (na wyspie Ceylonie), w Adenie (u brzegów Arabii), w Djibutti (brzegi Somalisów), w Suezie (przy wejściu do kanału) w Port-Saidzie (brzegi Egiptu) i wreszcie, morzem Śródziemnem przez cieśniny Messina (między Sycylią i Włochami) i Ś-go Bonifacego (między Korsyką i Sycylią) do Marsylii!...

Wieczór spędziliśmy w teatrze annamskim. Jeden z aktorów grał tak pysznie, że publiczność obyspała go dolarami (piastrami).

Idziemy spać... Jutro o tej porze będziemy już daleko! Życze nam szczęśliwej podróży, bo czas jakoś nie bardzo pewny, deszcz leje i wiatr świszczy złowrogo... Dobranoc!

IX.

W Saigonie.

Saigon, dnia 5 marca 1908 r.

Dnia 26 lutego statek „Junnan“ zatrzymał się na kilka godzin w porcie annamskim Turanie.

Pięćdziesiąt lat temu marynarze francuscy zdobyli to miasto siłą zbrojną. Następnie Turan został zwrócony cesarzowi annamskiemu, za co, w zamian, rząd francuski otrzymał wieczystą koncesję, na której dzisiaj spoczywają zwłoki 500 Francuzów, poległych podczas owej bitwy. Ten cmentarz tworzył przez długie lata jedyną kolonię francuską na terytorium Annamu. Obecnie Turan, wraz z ca-

łym Annamem, Tonkinem, Kambodżą i królestwem Laosów należy do protektoratu Francji.

Turan posiada pewną osobliwość, mianowicie *marmurowe góry*: całkowite góry, wykute przez naturę z pięknego, białego marmuru! W górach Annamici powydrażali potężne, fantastyczne groty i pourządzali w nich świątynie buddhyskie. Bonzowie, mieszkający obok, wyrabiają z turańskiego marmuru rozmaite drobne przedmioty, które sprzedają przejezdnym na pamiątkę. Góry marmurowe, obrazowo opisane przez jednego z kolegów, pana kapitana Viaud (Piotr Loti), są pokryte słojem ziemi i i gęstymi krzakami, gdzie gnieźdzą się na swobodzie małpy. Nie znam nazwy zoologicznej tego rodzaju małp. Wielkości dziesięcioletnich chłopców, mają minę karłów, są pokryte szerszą mysiego koloru, noszą długie, białe faworyty, mają czerwone łapy i czerwony ogon. W ruchach odznaczają się imponującą powagą i powolnością. Na pierwszy rzut oka robią wrażenie więcej starców-dyplomatów, niż dzikich zwierząt. Ponieważ nie znoszą niewoli i chowane w klatkach prędko umierają, przeto nikt ich tu nie niszczy, tembardziej, że tutejsi buddhyści opiekują się niemi z macierzyńską troskliwością. Z tych powodów, pomimo dzikiego stanu, ludzi wcale się nie boją. Podczas naszej wycieczki, jedna z nich, oparta na kiju, zbliżyła się do mnie zupełnie swobodnie, wzięła mi z ręki banana i z całą powagą, godną angielskiego lorda, oddaliła się wolnym krokiem w Marmurowe góry.

Pan X., mój kolega, powróciwszy z polowu ostryg, ściągnął swoje zmoczone buty i postawił je

na słońcu, ażeby je wysuszyć. Ale podczas gdy gawędził z nami, buty nagle znikły; jedna z małych zabrała je z sobą; widzieliśmy ją zdaleka, wędrującą ścieżką z butami pod pachą. Pan X. schwylił za karabin, prosiliśmy go jednak, ażeby nie strzelał, nie chcąc drażnić obecnych bonzów, buddhyści bowiem, zgodnie z zasadami swojej religii, miłują bez wyjątku wszystkie zwierzęta; bonzowie nigdy nie jadają mięsa. Pewien Anglik, podróżujący z nami, opowiadał, że podczas swego pobytu w okolicach Bombaj'u, widział na własne oczy jedną Indjanę, dającą piersi małemu koźlęciu, które utraciło matkę.

Płyniemy od czterech dni bez żadnych szczególnych wypadków. Pomimo, że jesteśmy oddaleni tylko na 12 stopni od równika, nie czujemy gorąca; większość pasażerów przechadza się na pokładzie w ciemnych, zimowych kostiumach. Pogoda coraz ładniejsza. Chwilami, z po za białych chmur wysuwa się na sinem niebie czerwono-żółte, palące tutejsze słońce. Morze Chińskie, zazwyczaj burzliwe, tym razem fałduje się w długie, drobno pomarszczone fale, które łamią się nieestetycznie, bez piany i bez łoskotu. Ogólny kolor morza czarny, matowy. Od czasu do czasu spotykamy miejsca koloru malichitu, na których pływają olbrzymie grona morskiego mchu i paroci.

Okręt sunie jak po stole! Nikt nie cierpi na chorobę morską. Wszyscy pasażerowie przez to czują się zadowoleni, są nadzwyczaj uprzejmi, mili,

gadatliwi. Życie okrętowe przechodzi błogo, bez trosk i kłopotów!... Rano o 7-ej pierwsze śniadanie: czekolada, kawa, mleko, jajka lub szynka. O 11-ej obiad; o 4-ej podwieczorek; o 6-ej—kolacya i o 9-ej herbata. W antraktach, każdy robi, co mu się tylko żywnie podoba.

Wieczorami jedni grywają w karty, inni, w fumarze, siedzą przy kuflach piwa lub wina i, paląc fajki, plotkują lub opowiadają sobie wzajem różne awantury; inni, wreszcie, zbierają się w salonie, gdzie albo tańczą, albo słuchają muzyki i śpiewów amatorskich. Czasami urządzają także przedstawienia teatralne, tombole na korzyść rodzin morskich rozbitków i t. p. W danej chwili (godzina 3^{1/2} po obiedzie) Donia gra w szachy z jakimś starym Anglikiem, powracającym z Hong-Kong. Mój sąsiad, pan Montagron, próbuje swego fonografu. Pani pułkownikowa Purra czyta ostatnie dzieło Prevosta'a „Monsieur et Madame Moloch“. Zdala, w drugiej klasie, słychać muzykę na skrzypcach. Dzieciaki biegają hałaśliwie po pokładzie i pod opieką chińskich i annamskich nianiek bawią się w chowanego. Na dole żołnierze wykrzykują numera loteryjki. Nasz kot sijamski, Moj Den, siedzi przy mnie, przywiązany do fotelu i patrzy ze zdziwieniem na bezgraniczne morze, ani przypuszcza, że ma pod sobą około dwóch wiorst głębokości i że gdyby przypadkiem wpadł w tę głęboką wodę, to potrzebowałby przynajmniej pół godziny czasu, ażeby dojść do dna, notabene, jeżeli rekin, które ciągle śledzą za okrętem, nie porwałyby go w drodze. Siedzi spokojnie, filozoficznie... prawdopodobnie ufa w swoją szczęśliwą gwiazdę tak, jak i my wszyscy na

okręcie. Pierwszego dnia biedne kocisko, bardzo cierpiało na chorobę morską. Co prawda, wszystkie inne zwierzęta: krowy, owce, a nawet kury i gołębie nie są wolne od tej przykrej towarzyski podróży morskich. Donia i ja stanowimy pod tym względem szczęśliwy wyjątek i nigdy jeszcze, w naszych dalekich podróżach nie odczuliśmy symptomów choroby morskiej.

28 lutego, godzina 1 popołudniu.

Przejeżdżamy u stóp przylądka św. Jakóba. Statek zwalnia biegu. Sternik wchodzi na pokład i wprowadza okręt w ruch. Za pięć godzin wylądujemy w Saigonie, gdzie powiada nasz kapitan okrętu zabawimy do 5 go marca...

Saigon jest stolicą Kochinchiny, 60,000 mieszkańców. Chińczycy nazywają go „Perłą Wschodu“. I rzeczywiście, miasto piękne, w formie cieniatego parku, złożone z szerokich alej, ogrodów i pałaców, zbudowanych z przepychem i wszelkiego rodzaju komfortem. Pryncypalna ulica, rue Catinat, nadzwyczaj ożywiona, przedstawia się malowniczo i wprowadza podróżnych w różowy humor: wszyscy Europejczycy noszą się białe, panowie w wesołych smokingach, panie w jasnych lekkich, balowych sukniach. W olbrzymich kawiarniach słychać grające orkiestry; wszędzie masę kwiatów, obfitej zieleności! Na ulicy mnóstwo pasów, powozów, autobusów na gumowych kołach krąży cicho, arysto-

kratycznie, bez turkotu. Magazyny z wystawami oryginalnych wyrobów wschodnich; japońskich, chińskich i indyjskich urozmaicają ogólny widok. Na trotuarach nowoprzybyły spotyka bezprzestannie różne typy podzwrotnikowe, albo wysmukłych Chińczyków, o długich, kruczych warkoczach, albo Indjanów w bogatych zawojach i o czarnych, cygańskich oczach; albo czekoladowego koloru Malabarów w krymkach i owitych w różnokolorowe kracaste „pagne“, albo Annamitów w turbinach i jaskrawych jedwabnych „keao“ i t. p. Inne aleje miasta, chociaż mniej ruchliwe, są niemniej przyjemne z powodu bogatej, rozkosznej zieleności tego kraju. Wszędzie dużo cienia i miejsca; każdy dom posiada swój ogród, łazienki, prysznice i t. d. Bulwary wyjątkowych rozmiarów, tak na przykład bulwar Narodom, mający 200 metrów szerokości, jest złożony z siedmiu cienistych alej. W nocy miasto, dzięki oświetleniu elektrycznemu, przedstawia jeszcze więcej uroku: duże, z bładem księżycowem światłem elektryczne kule, toną w gęstej zieleni i nadają mu prawdziwie feeryczny wygląd.

Niestety ta czarowna strona medalu posiada inną odwrotną stronę, mniej zachwycającą: Kochinchina jest krajem wiecznego lata, niezmiennego, wycieńczającego gorąca parowej łaźni! Dysenterya grasuje stale, dysenterya specyjalna, kochinchinśka, trudna do wyleczenia, łatwo zamieniająca się w chroniczną, która zabija lub pozostawia ślady nieraz na długie lata. Oprócz tego ciągle denerwujące upały i konieczność życia podczas nocy doprowadzają Europejczyka w bardzo krótkim czasie do wyjątkowego osłabienia. Europejczyk traci chęć do

umysłowej pracy, przestaje chodzić, pija dużo płynów z lodem, mało jada, nabiera cery przejrysto-białej, papierowej i wreszcie pada ofiarą bezkrwistości. Są jednak temperamenty, które zgadzają się z sytuacją i, pomimo wszystkiego, osiedlają się w Kochinchinie na stałe. Pan M., znajomy doktor wojskowy, zakochany w pewnej Annamite, nie mogąc otrzymać pozwolenia ministra wojny na zawarcie ślubu, podał się do dymisji i po ożenieniu zamieszkał na stałe w Saigonie. Poci się biedaczysko już od pięciu lat, wychudł jak szczapa, ma troje dzieci i teraz żałuje, tembardziej, że żona prowadzi romans z jakimś Annamitą, dalekim kuzynem.

Skoro okręt zarzucił kotwicę, Donia, ja i nasz kot Moj-Den opuściliśmy kajutę, w której z powodu gorąca i moskitów na ładzie niepodobna wytrzymać, i na pięć dni przenieśliśmy się do klubu oficerskiego.

Przechadzając się w kostymie Adama z wachlarzem w ręku po obszernym pokoju klubu i oblewając się od czasu do czasu zimną wodą, z zazdrością wspominamy, że wy tam, w Warszawie w tymże samym czasie jeździcie prawdopodobnie na łyżwach i, otuleni w futra, używacie san nyl.. Za to Moj-Den szelma jest w swoim żywiole: lata po nocach, bawi się i przeszkadza nam spać. Co prawda, tutejsze noce są przyjemne, stosunkowo chłodne, piękne, gwiaździste. Wszystkie konstelacje błyszczą o wiele jaskrawiej i wyraźniej, niż w Europie, a między innymi konstelacja „Krzyża“, która w opozycji do gwiazdy polarnej wskazuje południe, i której wy, mieszkańcy północnej kuli, nigdy nie oglądacie.

Nazajutrz rano o 7-ej pojechaliśmy tramwajem zwiedzić miasto Szolen, położone o 5 kilometrów od Saigonu i posiadające około 150,000 mieszkańców.

Ciekawe miasto! Europejczyk, przechadzając się po ulicach Szolen, zupełnie zapomina, że jest w Indjach Wschodnich, i odrazu przenosi się w głąb dalekich Chin. Pomimo bliskości urządzonego po europejsku miasta Saigonu, podróżnik nie spotyka w Szolen najmniejszego śladu naszej cywilizacji. Wszystko po chińsku! Ani sposób się dogadać, nawet na migi! Tysiące, tysiące warkoczy przewija się w różne strony, jak w poruszone mrowisku, na wązkich, brudnych, cuchnących ulicach, zapchanych składami chińskiej porcelany, herbaty, jedwabiu, bronzów, materiałów spożywczych etc. Magazyny zawsze ugarniowane przy wejściu misternymi, pozłacanymi rzezbami z drzewa; przed drzwiami wiele porcelanowych ozdób; szyldy wiszące prostopadle z potężnymi chińskimi napisami; przed magazynami ogromne, półbeczkowe, wiszące, papierowe latarnie; w głębi zbytkownie urządzone ołtarze przodków i dekoracje religijne; skarłowaciałe drzewa w artystycznych wazach; umeblowanie chińskie z hebanu, nasadzone perłową macieją i kością słoniową, i wreszcie sami kupecy, którzy swym apatycznym spokojem i wschodnią powolnością zawsze doprowadzają do rozpaczki Europejczyków, pragnących coś kupić. Wszystkie domy miasta między ulicami komunikują się wzajem i tworzą nieskończone zagniatwane labirynty. Na zewnątrz mnóstwo ulicznych handlarzy; chodzące restauracje z wszelkiego rodzaju nieznanymi dla nas potrawami, wędrownie księgarnie, cyrulicy, dentyści i t. p.

Szolen składa się z dwóch części: „la partie basse“, położona nad rzeczką chińską, z pokrytą sompanami i zongami (łodzi), spławiającymi z Hong-Kong, Kantonu, Szangaju i Formozy ryż i różne towary. Dodam w nawiasie, że wszystkie indochińskie łodzie posiadają na przodzie wymalowane ogromne oczy, które w przekonaniu tutejszych wiosłarzy pozwalają łodzi spostrzegać zdala na wodzie grożące niebezpieczeństwo; łódź wówczas opiera się wiosłarzowi o wiele silniej, a nawet czasami stanowczo wzbrania się iść naprzód... Te oczy nadają łodzi wygląd olbrzymich ryb morskich lub potworów.

Druga część miasta nazywa się „Quartier européen“, posiada kilka kawiarni francuskich, uczęszczanych zwykle po północy przez złotą młodzież Saigону. Kupey i właściciele restauracji chińskich, położonych w tym kwartale, rozumieją trochę po francusku. Tamże znajduje się teatr annamski, teatr chiński (rue de Paris) i inne domy zabaw, obsługiwane przez kokietki japońskie i przez piękne, o czarownych, melancholijnych oczach Indyanki.

Jadąc do „partie basse“, tramwaj przerywa malownicze plantacje palm kokosowych, arekowych, palm podrózników (w formie wachlarza), sika i t.p. Do „Quartier européen“ droga przechodzi przez również malowniczą, chociaż w innym guście „Dolinę grobów“, która ciągnie się na kilka wiorst i zdaleka robi wrażenie ruin znikłej starożytnej stolicy.

Na śniadanie poszliśmy do restauracji chińskiej. Restauracja elegancka, cała błyszcząca od wyłaczanych rzeźb, emaljowanych ozdób porcelano-

wych i czerwonych, jedwabnych długich wstęg, rozwieszonych na ścianach ze znakami chińskimi, grubo wyszytymi złotem. Zaraz przy wejściu, na stołach, obitych cynkową blachą, są apetycznie wystawione w małych wazkach wszelkiego rodzaju potrawy chińskie, pozwalające przechodnim gastronomom wybrać „menu“ według swego gustu, patrząc na przyrządzone już potrawy. Szerokie schody, okute czerwoną i żółtą miedzią, prowadzą na pierwsze piętro do obszernej sali jadalnej, zastawionej małymi stolikami z hebanu. Młodzi Chińczycy, wystrojeni w jedwabne niebieskie kurtki, chińskie pantalone (złożone z dwóch różnobarwnych części), w wojłkowych, z grubą, białą podeszwą pantoflach i ze spuszczonej kruczym warkoczem, obsługują gości. Długi warkocz chiński bardzo przeszkadza robotnikom w domowych zajęciach, dlatego też Chińczycy podczas pracy obwijają go naokoło głowy; chociaż grzeczność i dobre wychowanie wymagają, ażeby w rozmowie z osobami obcymi warkocz zawsze był spuszczonej i głowa przykryta kapeluszem (przeciwnie, jak u nas.) Siadamy do stołu i zaczynamy obiad, zgodnie ze zwyczajem chińskim, od słodczy; obsmarzane w eukrze ziarenka lotosu, bez japoński, araszyd, banany, ananasy etc.

Następnie próbujemy rozmaitych serów z grochu. Wreszcie na pierwsze danie podają mózdzki rybne. Na drugie—smażone żaby, przypominające smakiem kawałki cielęciny. Następnie, kaczka po chińsku, rąbana w drobne kawałeczki z odpowiednim sosem (wcale nie złe), pletwy rekina, prosiak lakowany, wątroba wieprzowa z selerami, zółw marynowany i kończymy zupą z gniazd jaskółczych (nie

szczególne: rodzaj zupy z włóknistym galareto-
wym cienkim makaronem).

Jako trunki: wino chińskie, wódka z ryżu i herbata przyrządzona po chińsku, czyli, że do odpowiednio zrobionej filiżanki każdy gość wrzuca szczyptę suchej herbaty, zalewa ją gorącą wodą, przykrywa filiżankę specjalnym spodkiem i po jakimś czasie pije ją bez łyżeczki i bez cukru.

Po obiedzie zwiedziliśmy kilka pagód, a wieczorem wpadliśmy na godzinę do teatru chińskiego, którego ogólny opis już Wam podałem w jednym z moich poprzednich listów. To tylko dodam, że sztuka teatralna chińska od r. 720 (po Nar. Obr.), t. j. epoki, w której podług historyków chińskich cesarz Thaj-tsong, z dynastii Thang, wystawił pierwszy narodowy dramat, nie zrobiła prawie żadnego postępu. Ta sama rutyna, co 13 wieków temu pod względem „mise en scène”: dekoracji niema, sufler przechadza się po scenie, orkiestra złożona z hałaśliwych blach i instrumentów rżniętych, mieści się w głębi sceny etc. Na balkonie, gdzie siedzieliśmy, zauważyłem, że kobiety sadowią się po prawej stronie, a mężczyźni po lewej. W Chinach lewa strona jest uważana, jako strona honorowa (przeciwnie jak w Europie). W teatrze grali urywki z bardzo starej komedii pod tytułem: „Czaomei-hiang pin-han-lin-fong-ju“, co w tłumaczeniu oznacza „Intrygi subtelnej kokietki, która oszukuje uczzonego profesora akademiji“. Komedya jest napisana przez sławnego klasycznego autora Czyng-te-hoel.

W niedzielę udaliśmy się kolejną w celu obejrzenia nieco kraju, do miasteczka Gowap i do Gia-

dinh, gdzie, ujawszy mały jednokonnny omnibusik, znany tu pod nazwą „malabara“, udaliśmy się przez pola ryżu, trzciny cukrowej i tytoniu do wioski Phu-Tho, ażeby obejrzeć sławny w okolicy buddyjski klasztor Kien-Phuoc. Po drodze zwiedziliśmy grób biskupa Adran, dzięki któremu Francja zawarła w 1780 r. traktat z cesarzem Annamu, Gia-Long, pozwalający Francuzom osiedlać się, misjonarzom francuskim i rozprzestrzeniać naukę katolicką w Annamie.

Po śmierci biskupa w 1799 roku cesarz Gia-Long kazał wybudować biskupowi książęcy grobowiec.

Przed wejściem do mauzoleum potężne koło marmurowe, podtrzymywane przez dwóch tygrysów, zasłania grób przechodniom. Na kole z jednej strony jest wyciosana chimera, w pełnym biegu unosząca w obłoki księgę naukową i szablę (siłę umysłową i siłę fizyczną); na drugiej stronie kilka zdań o marnościach świata, wyjętych z kodeksu Konfucjusza. Przed samym grobem stoi wkopany w ziemię czworokątny czarny kamień, na którym złotymi chińskimi znakami jest wypisana biografia biskupa; wreście nad mauzoleum wznosi się wysoki granitowy krzyż.

Wieczór przepędziliśmy w towarzystwie kolegów i przyjaciół. Jeden z nowoprzybyłych do kolonii kolegów twierdzi, że po powrocie do Francji prawdopodobnie będę zmuszony udać się z moją rotą na granicę marokańską. Bardzo mi się uśmiecha ta nowa wyprawa, a Donia cieszy się, że posiadając dyplom infirmerki Czerwonego Krzyża, będzie miała prawo towarzyszyć mi na plac bitwy.

Zaluję mocno, że krótki pobyt w Saigonie nie pozwala nam zwiedzić miasta Pnom - Penh, stolicy Kambodży, w której znajduje się oryginalny pałac króla Sisowath, jak również wspaniałych ruin świątyni Angkor'u, zbudowanej przez Khmerów, pierwotnych mieszkańców Kambodży.

Zgodnie z opowiadaniem niektórych kolegów kolosalne ruiny Angkor'u, otulone przepyszną, podzwrotnikową roślinnością, przedstawiają niezmiernie imponujący widok i pod względem rozmiarów oraz bogactwa architektury nie ustępują innym antycznym cudom, znanym przez świat ucywilizowany.

Pomimo, że istnieją już od 16-tu wieków, Europa dowiedziała się o nich dopiero przed kilkudziesięciu laty. Obecnie „Towarzystwo Francuskie Szkół Wschodu” studjuje to arcydzieło na miejscu i robi codziennie nowe ciekawe odkrycia pod względem historycznym. Niektóre drobne odbitki z gipsu i fotografie tych ruin można oglądać w tutejszym muzeum „de la Societé des études Indo - Chinoises”. Na wyprawę do Angkor'u potrzeba przynajmniej 2 tygodnie czasu.

We wtorek asystowaliśmy w świątyni indyjskiej modlitwie wieczornej tutejszych Malabarów wyznania Brahmy. Ci Malabarzy należą do sekty Szeti, która adoruje przede wszystkim złoto (pieniądz). Innych, wznioślejszych uczuć sekta nie uznaje. Sekciarze żyją wspólnie, zajmują się handlem, lichwą i kobiet do swego grona nie dopuszczają. Szeti w Indjach są tak samo pogardzani, jak żydzi w Rosji, lub Armianie w Turcyi. Świątynia jest zbudowana w stylu indyjskim, z płaskim dachem, opartym na kolumnach pomarańczowego i zielonego ko-

loru; nad dachem wznosi się czterokanciasta wieża, pokryta zielono emajowaną porcelaną i zakończona kopułą bizantyjską. Wewnątrz świątynia tworzy trzy nawy: środkowa, nieco wzniesiona służy za miejsce do modlitwy; w głębi tej nawy widać z przeplechem urządzony ołtarz, cały złoty, ubrany kwiatami i rzęsiście oświetlony. Dwie boczne nawy okalają ołtarz. Z tyłu, za ołtarzem widać zawieszzone obrazy różnych bóstw, z których jedno zielonego koloru, trzymające węża w ręku, przeważnie zwraca na siebie uwagę. Modlitwa wieczorna sekciarzy polega na następującej ceremonii: wierni wchodzą do świątyni z gołą głową, bosy, kompletnie obnażeni do pasa, mając dolną część ciała okrytą białą szmatą (pagne); obchodzą wewnątrz świątyni dwa razy, przysiadają po turecku w bocznej nawie, gdzie obmywają swe ciało i nacierają czoło i ramiona jakimś szarym proszkiem (prawdopodobnie popiołem). Następnie wstępują do środkowej nawy, kładą się na ziemi z wyciągniętymi naprzód złożonymi rękami i dotykają ziemię głową trzy razy: czołem, prawem i lewym uchem. Późem stają naprzeciw ołtarza, odmawiają w cichości modlitwę, trzymając ręce złożone najwypierw prostopadłe nad głową, a potem przy ustach. Po skończonej modlitwie obsługujący kapłan zapala od świętego, wiecznego ognia przed ołtarzem rodzaj żywicznej pochodni, którą podaje każdemu z modlących się Malabarów. Modlący chwytą szczyptę popiołu z tej pochodni i naciera nim czoło i piersi. Zaraz potem drugi kapłan podaje mu naczynie z wodą, której część modlący bierze w usta, a resztą obmywa palce. Co poniedziałek i piątek odbywa się w świątyni oryginalna pro-

cesya, na którą kobiety nie mają wstępu, i którą opowiem przy sposobności ustnie, pod sekretem.

Dziś wieczorem, 5-go marca nasz okręt opuszcza ostatecznie Saigon. Następny postój zrobimy w Singaporze, porcie angielskim, położonym na półwyspie Malakka.

Kończę, bo straszne gorąco! Cały jestem mokry od potu, muszę zaraz wziąć prysznic...

Post scriptum. Godzina 6 wieczorem.

Okręt zaryczał po raz trzeci. Dzieci płaczą z przestachu. Nasz Moj-Den przerażony wyskoczył z koszyka! Maître d'hotel chodzi po pokładzie, dzwoniąc, ażeby uprzedzić odprowadzających, że okręt podnosi kotwicę! Wielkie ożywienie, uściski, pożegnania, płacz! Sternik z pomostu huknął jakąś komendę, maszyna puszcza się w ruch, podnoszą drabinę, chorągiew francuska salutuje inne pozostałe okręty, kapitan zagwizdał jeszcze kilka sygnałów i... *en avant doucement!* w drogę, het, daleko, w nieznaną krainy!...

X.

Singapor, dnia 10 marca 1908.

Podróż z Saigону do Singaporu odbyliśmy w pysznych warunkach. Co prawda, muszę zaznaczyć, że obecny sezon zimowy najwięcej sprzyja nawigacji w tych okolicach. Nieco później, w maju, zaczyna się już epoka stałych wiatrów zwanych „musonami“, które, rzucając gwałtownie okrętem, nieraz stają się bardzo męczącymi dla pasażerów,

czułych na chorobę morską. Tym razem okręt szedł po śpiącym morzu z wyjątkowym spokojem. Chwilami, spacerując na pokładzie, ma się wrażenie, że statek stoi w miejscu. Trzeba było usiąść lub się położyć, ażeby odczuwać lekkie drganie statku, przypominające, za każdym obrotem śruby okrętowej, oddychanie pływającego olbrzyma. Śliczne lazurowe morze, poetycznie ugarbione białymi koronkami piany, równiusiennie na całej widzialnej powierzchni, pozwalało obserwować przez lunetę marynarzy najmniejszą wypukłość na odległości czterech wiorst wokoło. Małe wysepki Anambas dostrzegaliśmy już na 90 wiorst od nas! Przez trzy dni i nocę z rzędu płynęliśmy jakby po olbrzymim jeziorze, napelnionem oliwą. Miliony srebrnych gwiazd, wytwarzanych przez rewerbarację słoneczną, zupełnie oślepiły pasażerów, szczególnie w miejscach lustrzanych, w których morze przybiera wygląd kompletnie gładkiej płyty kryształowej. Od czasu do czasu, stado fruwających rybek, wyskakując, jak jaskółki nad powierzchnię wody, zakłócają ogólny spokój, a wreszcie żadnej roślinności, żadnego szumu, tylko głęboka, przynębiająca cisza, imponujący sen wielkiego oceanu, o sile nieznażącej przeszkód. Wiezorami księżyc w nowiu, który pod równikiem przedstawia się w pozie leżącej, obejmując iskrzącą, piękną Wenere, zawieszoną w bezgranicznej przestrzeni, odrywał nas kompletnie od marności ziemskich i unosił nasze myśli i fantastyczne marzenia w nieskończenie dalekie, tajemnicze krainy kosmosu.

Singapor leży na 1 stopień i 17 minut szerokości geograficznej, czyli, że okręt nie przerzyna

równika. A wielka szkoda, bo marynarze francuscy mają zwyczaj w takich razach urządzać na koryście załogi okrętowej wielką zabawę, mającą za motyw „Chrzest pod równikiem”. Chrzest polega na tem, ażeby pasażerowie, którzy nigdy w życiu nie podróżowali na półkuli południowej, zanurzyli się w wodzie morskiej w chwili, gdy okręt przepływa równik. W tym celu, majtkowie urządzają na pokładzie statku sztuczny basen z płótna żaglowego, który napęniają na metr głębokości wodą morską. Poczem cała załoga okrętowa przebiera się jak na maskaradę i odbywa procesję wraz z pasażerami, idącymi do chrztu. Na przodzie kroczy stary, siwiutenki, trzęsący się astrolog, ubrany w odpowiedni kostium średniowiecznych czasów z ogromnymi okularami na nosie i z lunetą w rękę; astrologa okraża świta rozmaitych dyabłów, niosących nietoperze, krokodyle, sowy, węże etc. Za nimi różne narody kuli ziemskiej: Murzyni, Chińczycy, Indianie, Egipcjanie i t. d. Za narodami banda cyrulików, uzbrojonych w ogromne drewniane brzytwy, które mają golić pasażerów przed wzięciem kąpieli chrzestnej. Małe chłopaki okrętowe dźwigają worki z mąką, mającą zastąpić podczas tego golenia rozrobione mydło. Orszak zamykają pasażerowie okrętu. Po odbytej procesji stary astrolog usadawia się w swoim obserwatorium i przez lunetę patrzy długo w dal. Wreszcie, na dany znak przez kapitana okrętu, astrolog oznajmia wielkim głosem wszystkim obecnym, że dostrzegł równik. Dyabły wałą w bębny i blachy! Równik zbliża się coraz więcej! W końcu z przerażającym hukiem i trzaskiem równik spada na okręt! Jest to zwykle

wielki kawał drutu rzucony przez chłopaka okrętowego, ukrytego na wierzchołku głównego masztu. Zaczyna się chrzest. Narody porywają pasażerów; sadzają ich na ławach, tuż przy basenie; chłopaki obsypują głowy i twarz pasażerów mąką; cyrulicy ścierają tę mąkę drewnianymi brzytwami; dyabły wrzucają pasażerów do basenu! Dla pań dyabli są o wiele grzeczniejsi i kontentują się zwykle lekkim perfumowanym prysnięciem. Po odbytych chrzcie, pasażerom wręczają oryginalny dyplom na pamiątkę, zaświadczejacy że pani X. lub pan X. otrzymali chrzest pod równikiem w takim to dniu, o takiej godzinie i na takim to okręcie. Pan X. miał za chrzestnego ojca pana Wieloryba, a za chrzestną matkę panią Meduzę (lub inne morskie zwierzę). Niżej następują podpisy świadków, jak również podpis kapitana okrętu i pieczęć komisarza rządowego. Zabawa zwykle kończy się amatorskiem przedstawieniem teatralnem i tańcami.

Ja otrzymałem mój dyplom chrztu w r. 1895, jadąc na wyprawę do Madagaskaru. Donia w 1903 podczas ostatniej naszej podróży na wyspy Komorskie, Szeszele, Majotte, Bourbon i św. Maryi.

A propos Szeszeli dodam, że te małe wysepki znane są w świecie naukowym z pewnej osobliwości, która nie istnieje na żadnym innym punkcie kuli ziemskiej, mianowicie, posiadają owad zwany pospolicie „muchą-liściami”. Ta mucha, wielkości liścia orzeszyny, żyje na drzewie owocowym gojawy i widocznie pod wpływem prawa mimikry tak jest podobną w najmniejszych detalach do liścia tego drzewa, że uczeni podróżnicy i miejscowi kreole całymi godzinami obserwują gojawowe drzewo, ażeby

módz ją odszukać. Według spostrzeżeń niektórych zoologów, nawet inne owady się mylą i często biorą muchę za zwyczajny liść gojawy. Mucha, bardzo poszukiwana przez muzea angielskie (w Londynie płać około 100 rb. za każdą sztukę) znosi jajka w formie sześciennego grochu. Donia, która podczas naszej podróży zbierała kolekcję owadów, złapała samca i samicę. Samica zniosła garść jajek; poczem, w drodze do Egiptu, nie mogliśmy znaleźć liści gojawowych i obydwu stworzenia zdechły, prawdopodobnie z głodu; obecnie spoczywają w kolekcji na szpilkach. Z jajek wylęło się, w Paryżu mnóstwo małych, poruszających się i chodzących listków, ale po 24-ch godzinach wszystkie także życie zakończyły. Monsieur Lacoste, profesor nauk przyrodzonych, który podróżuje z nami, twierdzi, że na wyspie Ceylonie istnieją podobnie tego rodzaju muchy, tylko nieco większe i koloru bladzielonego.

Na Szeszelach zwiedziliśmy także tamtejszą żółwiarnię, około 40 żółwi (żyjących na suchym lądzie) wielkości baranów. Jeden z tych żółwi, jak upewniał stróż żółwiarni, miał przeszło 104 lata wieku. Skorupa żółwi jest tak twarda, że naładowany wóz, ciągnięty przez dwa woły, może przejść po niej bez żadnego uszkodzenia. Ale, wracam do Singaporu!

Historia Singaporu jest dosyć ciekawą: W r. 1819, gdy Anglia oddała Holendrom port Benkolen, położony na wyspie Sumatrze, dawny gubernator angielski tego ostatniego portu, lord Stamford Raffles, kupił za beżen od zadłużonego sultana Johor'u małą wysepkę z miejsciną rybacką Singapor, leżą-

cą tuż przy półwyspie Malakka. Wówczas wszystkie okręty, jadące na Daleki Wschód, zatrzymywały się w Batawii, stolicy wyspy Jawy. Lord Stamford Raffles, pragnąc podnieść znaczenie kupionej miejsciny, urządził w niej skład węgla dla przechodzących okrętów i ogłosił całemu światu, że miasto Singapor jest wolnym portem, t. j. że każdy człowiek może się w niem osiedlić i prowadzić handel bez płacenia cła, podatków, ani patentów. Rezultaty tego ogłoszenia okazały się natychmiast: Pierwsi pojawili się Chińczycy z Kantonu, którzy spostrzegłszy, że w Singaporze mogą prowadzić handel w warunkach o wiele korzystniejszych, niż we własnym kraju, zabudowali się w nim i osiedlili na stałe; wkrótce liczba ich wzrosła do 30,000! Za Chińczykami przybyli Malabarzy, za Malabarami Indjanie, Arabi, Egipcjanie i t. d. Każdy z tych narodów zabudował odpowiednią część miasta, zgodnie ze swoimi zwyczajami, wyznaniem i utworzył się z Singaporu port bardzo podobny do stałej wystawy powszechnej, chociaż element chiński przeważa nad innymi. Obecnie na 270,000 mieszkańców Singapor liczy przeszło 160,00 Chińczyków. Obszerna przystań, łatwy dostęp i różnorodny handel Singaporu postawiły go na pierwszym miejscu, tak, że dzisiaj w Batawii zatrzymują się tylko okręty holenderskie, wszystkie zaś inne robią postój w Singaporze. Anglia ma zamiar utworzyć z niego pierwszorzędną punkt strategiczny. Na przyszły rok mają tu już sprowadzić kilka okrętów wojennych.

Singapor po sanskrycku oznacza „miasto lwów“, zgodnie bowiem z podaniem, niegdyś ta miejsco-

wość była zasiana dzikimi zwierzętami. Co prawda, nadzwyczaj obfita roślinność półwyspu sprzyja zupełnie rozwojowi wszelkiego rodzaju dzierzyny.

Pierwszego dnia pojechaliśmy z Donią obejrzeć tutejszy, bardzo ładny ogród botaniczny, urządzony w olbrzymim parku, który miejscami przypomina las dziewiczy. A czy wiecie, co jest las dziewiczy? Pewną część lasów dziewiczych zwiedziłem w Gwinei francuskiej, na granicy Brazylii i „en petit“ na wyspie Ceylonie.

Las dziewiczy jest to prawdziwy *kółtun botaniczny*, w którym flora podzwrotnikowa, dzięki ljanom i wszelkiego rodzaju pasożytom roślinnym, łączy się, wikła, splata i wiąże między sobą w ten sposób, że tworzy jedną całość kilkuset mil obwodu i wewnątrz której można się poruszać i przedzierać tylko z toporem w rękę. *W tym bogatym, przepyszny, wiecznie zielonym gaju nie ma żadnego śladu ani ludzi, ani zwierząt, ani ptaków ani gadów, ani najmniejszego, żyjącego robaczka!*... Wszystko, co zdolne jest się ruszać, ucieka z tej martwej głębi, która, z powodu nieprzepuszczalnej cienistości roślinnej, nigdy nie ogląda orzeźwiającego promienia słońca. Jest to królestwo wyłącznie należące do roślin. Od tysięcy, tysięcy lat, w tym przynębiająco milczącym borze tylko rośliny się płodzą, rozwijają, waleczą między sobą i pożerają się wzajem... Młode, świeże, aromatyczne pączki wysysają pierwszy pokarm ze zgniłych trupów swoich przodków, a potem, pod starość, wycieńczone przez inne pasożyty, gniją swoją koleją, ażeby znowu dostarczyćżywienia dla nowej generacji, i tak ciągle, bez końca. Z powodu tej bezprzerannej

naturalnej transformacji, w lasach dziewiczych trudno się dostać do normalnego gruntu: ziemia jest pokryta grubą warstwą zgniłych lub gnijących liści i próchna, tworząc galaretową, cuchnącą, śmiertelną dla człowieka masę, w której podróżnik grzęźnie nieraz aż do kolan. Za to w okracających brzegach, ożywionych słońcem i czystym powietrzem, las oddycha pełną siłą państwa zwierzęcego. Ryk dzikich bestyj, śpiew ptaków, syczenie węży i brzęk komarów tworzą muzykę, której podróżnik w żadnym innym miejscu kuli ziemskiej nie usłyszy.

W parku syngaporskim spotkaliśmy kilka ciekawych okazów drzewa banian'a (proszę nie mieszać z bananami). Olbrzymie drzewo banian należy do rodziny fig, żyje setki lat i posiada własność puszczenia trojakiiego rodzaju gałęzi: jedne pną się w górę, drugie w poprzek, a z tych poprzecznych wyrastają trzecie, gałęzie prostopadłe, które, dotknąwszy ziemi, puszczaają korzenie i tworzą nowe drzewo banian'u. Tak że z jednego jedyne go drzewa może wyrość cały las, złożony z tysięcy prostopadłych kolumn, połączonych razem i żyjących wspólnymi sokami.

Z ogrodu botanicznego udaliśmy się małym, dwukółowym wózkiem, ciągnionym przez Chińczyka i noszącym tu nazwę japońską „dżynriksha“, do Raffles Muzeum i do Raffles Library. Muzeum jest mniejsze, niż warszawski gabinet zoologiczny. Biblioteka, posiadająca 16,000 dzieł naukowych, przeważnie w angielskim języku, traktuje różne kwestye, dotyczące kraju i jego mieszkańców.

Następnie, o godzinie 1-ej, wpadliśmy do Raffles Hotel, na obiad. Olbrzymia sala jadalna, wy-

łożona kararyjskim marmurem, jest urządzona z prze-
pychem i komfortem prawdziwie angielskim. Służ-
ba złożona z Chińczyków. Obiad, składający się
z 12-tu dań, bez wina, kosztuje 2 rb. na osobę.

Popołudnie spędziliśmy na Hills street w roz-
maitych magazynach chińskich, japońskich, malabar-
skich i indyjskich, a noc przespałiśmy na okręcie.
Temperatura tu jest o wiele znośniejsza, niż w Sai-
gonie, prawdopodobnie z powodu częstych deszczów.

Drugiego dnia, od samego rana, puściliśmy się
tramwajem elektrycznym (znakomicie funkcyjującym)
przez Tonjong Pagar road i przez South Bridge
road do bardzo ciekawej części miasta, pomal-
owanej na niebiesko i zamieszkałej wyłącznie przez
Chińczyków. To samo mrowisko ludzkie co w Szo-
lenie i w Pekinie. Mrowisko brudne, cuchnące, a je-
dnak sympatyczne... Ta bieda, żyjąca przeważnie
garstką ryżu i kawałkiem suszonej ryby, ciągle się
kręci, roi, uwija, trzyma się kupy i pracuje, i pra-
cuje, i pracuje! Solidarność, wytrwałość i praco-
witość Chińczyków dla nas Polaków jest prawie
niezrozumiała. Jednakże ta bieda jest więcej po-
zorna, niż rzeczywista: podróżnik nigdzie nie widzi
żebraków, oczywiście dzięki niesłychanie małym po-
trebom i pracowitości Chińczyków, a nawet prze-
ciwnie, dosyć często spotyka wspańiałe pałace chiń-
skich milionerów. Pałace o jednym piętrze, kapią-
ce złotem, kryte emalią, zieloną porcelaną i ozdo-
bione bogatymi rzeźbami z kosztownego drzewa.
Wewnątrz wysokie pokoje, ubrane suto jedwabne-
mi draperiami, meble z hebanu, nasadzone perłową
masą i kością słoniową, z marmurowym siedzeniem.
Po środku zbytłowne akwaria, okrążone sztuczne-

mi skałami, skarłowaciałymi drzewami owocami, sa-
dzonemi w artystycznych wazonach. Na górze (ja-
dalnia i sypialnia) na balkonie mnóstwo kwiatów;
szyby kolorowe; nad każdym oknem, oprawnem w gru-
bo złożone ramy, wisi duża kolorowa latarnia z na-
pisami chińskimi, oznaczającymi nazwisko, pocho-
dzenie i rangę właściciela. Ta część miasta wie-
czorem, między godz. 7-ą a 9-tą, przy oświetleniu
przedstawia się nadzwyczaj malowniczo i oryginal-
nie. Przechadzając się w nocy w tem mrowisku
rasy żółtej, nie spotkaliśmy ani jednego Europej-
czyka; czuliśmy się tak daleko od Was i tak sa-
motni, że chwilami strach nas przejmował.

W tej części miasta znajduje się także pago-
da chińska oraz świątynia indyjska brahminów. Świą-
tynię zwiedziliśmy nazajutrz. Jeden z kapłanów,
mówiący wprawdzie po angielsku, opowiadał nam
różne legendy religijne i tłumaczył znaczenie figur
i obrazów, ale brak miejsca nie pozwala mi ich po-
wtórzyć. Dodam tylko, że wszystkie obrazy, za-
wieszane w świątyni, są pochodzenia niemieckiego.
Nawet sam Brahma nosi wąsy zakręcone à la Guil-
laume, a dwie żony boga Siwy, z których jedna sie-
dzi w głowie, a druga w sereu, są tak marnie wy-
lizane, że nawet nasze kucharki wstydziłyby się za-
wiesić je nad łóżkiem.

Zatoka Bengalska, d. 16 marca 1908 r.

Już 6 dzień płyniemy spokojnie po lazurowych
falach. Onegdaj pożegnaliśmy ostatnie dostrzegalne
brzegi ciemnozielonej, górzystej Sumatry. Morze,
lekko pomarszczone, czasami nawet zupełnie gład-

kie jak lustro, szumi głucho i monotennie, uspada-
biając jednych do snu, drugich do marzeń, innych
po rozmyślań filozoficznych. Słaby wietrzyk pa-
chnie daleką wiosną Zachodu. Okręt, zaledwie się
kołysząc, sunie naprzód, prawie niepostrzeżenie dla
podróżnych. Donia [uczy się roli pewnej sztuczki
teatralnej, którą amatorzy mają zamiar grać w ka-
nale Sueskim. Kot Moj-Den, znudzony naszym to-
warzystwem, w ostatnich czasach tak miauczał za-
łożnie po całych dniach i nocach, że musieliśmy go
odesłać na drugi koniec okrętu do komórki, prze-
znaczanej dla innych kotów syamskich.

Gdy to piszę, Monsieur Launay, porucznik okrę-
tu, stary wilk morski, mający minę więcej baszy-
buzuka, niż marynarza, opowiada, jak zwykle, jakieś
nadzwyczajne awantury, które podobno go spotkały
podczas nawigacji nad brzegami Turcji. Wszyscy
go słuchają z wielkiem zajęciem. Monsieur Launay
widząc to, zapala się coraz więcej, zaczyna stopnio-
wo przesadzać i w końcu wpada w opis takich cu-
dów, że liczba słuchaczy powoli się zmniejsza i prze-
chodzi na drugą stronę okrętu, do pułkownika Pur-
ra, również gaduły pierwszorzędnego, który znowuż
opowiada swoje nadzwyczajne przygody na lądzie.
Z obawy jednak, ażeby słuchacze nie uciekli, naj-
bliżej stojących trzyma mocno za guziki od mun-
duru. Na przodzie okrętu garstka pasażerów, szu-
kających poetycznych wrażeń, obserwuje zachód
słońca. Niektórzy starają się uwiecznić na płótnie
zmienny koloryt nieba konającego dnia, ale krajo-
braz przeistacza się co chwila i co dzień bezpo-
wrotnie!... Wszyscy pragnęliby zobaczyć ostatni,

zielony promień słońca, lecz na to potrzeba, ażeby
niebo było zupełnie czyste, bez chmurki; wówczas
olbrzymia, czerwona kula słoneczna tonie bardzo
szybko w morzu, a ostatni wytryskujący jego pro-
mień podobno jest zielony (?). Co do mnie, pomi-
mo częstych obserwacji, nigdy zielonego promienia
nie oglądałem i zaczynam powątpiewać o jego
istnieniu...

Słyszę w sali jadalnej drugi dzwonek, zapra-
szający nas do stołu, na kolację. Żegnam więc!
Jutro o tej porze, wrzucę mój list w Kolombo,
gdzie okręt zatrzyma się dla ładowania węgla i to-
warów.

XI.

Na wyspie Ceylon

Kolombo, dnia 17-go marca 1908.

Europejczyk, jadący na Daleki Wschód, wy-
siadając w Kolombo, wpada zawsze w admira-
cję, którą trudno przelać na papier. Wszystko, co
widzi, podziwia z zachwytem i czuje się zupełnie
oczarowany. Przyczyną tej egzaltacji jest długa i
denerwująca podróż przez Ocean Indyjski, poprze-
dzający Kolombo, a głównie melancholia, którą od-
dychają postoje, widziane przedtem na brzegach
morza Czerwonego. Miasta: Obok, Djibutti, Perim,
i Aden są zbudowane w pustyni, na piaskach lub
rozpalonych skałach, pozbawionych wszelkiej wege-
tacji i wesołych krajobrazów. Powracając zaś z da-

iekiego Wschodu, podróżnik, przeciwnie, ma sposobność zaznajomić się przedtem z pięknymi miastami Japonii, z malowniczymi portami Hong-Kong, Saigon, Singapor etc. i czuje się nasycony widokiem czarownej, podzwrotnikowej flory, oraz oryginalnymi dziełami sztuki pięknych Azji wschodniej tak, że Kolombo przedstawia mu się w mniej korzystnym świetle i poprostu znajduje się ono dalszym ciągiem tego, co już widział podziwiał i studyował. Pomimo tego, Kolombo z całą wyspą Ceylon, dzięki swej wieczystej wiosnie i kolorytowi *sui generis*, zawsze posiada bardzo dużo uroku i nawet największy apatyczny podróżnik rozpogadza czoło na widok tej rozkosznej krainy. Indyanie nazywają wyspę „Tamraparni“ (błyszcząca jak miedź); Budhysci—„Wyspą pereł“, Chińczycy—„Wyspą skarbów“, Arabi—„Sinhala“ (wyspa lwów), Persowie—„Ziemią kwiatów“, Grecy—„Ziemią rubinów“, Portugalczycy—„Wyspą królów“, Duńczycy—„Wyspą cynamonu“, Anglicy—„Rajem ziemskim“ i td. Nie dziwnego, wyspa zawiera w sobie tyle ciekawych osobliwości, że nie tylko przejezdni podróżnicy, podczas swych krótkich postojów okrętowych, napawają się jej zapachem, skarbami i malowniczością, ale nawet wielu uczonych przyjeżdża tu naumyślnie z różnych krańców świata i osiedla się na czas dłuższy w celu robienia rzadkich zbiorów przyrodniczych.

Ceylon znam oddawna. Już to szósty raz w życiu zatrzymuję się u jej szmaragdowych brzegów i nigdy nie mogę dosyć się nasycić jej niezmiennymi, a jednak zawsze nowymi krajobrazami. Jej malo-

wność można porównać z miłością i wiosną, które chociaż istnieją od początku świata, przedstawiają wieczną świeżość i są witane przez ludzi serca zawsze z zapalem.

Wyspa z Indyami angielskimi łączy się za pomocą wystających skał i kamieni, po których można przejść prawie suchą nogą przy odpływie morza i które to przejście mieszkańcy nazywają „mostem Adama“. Most Adama przedstawia wiele niebezpieczeństwa dla podróżników, nieznających miejscowości, łatwo bowiem mogą być zaskoczeni przez przypływ morza i wędrówkę przypłacie życia; to też most rzadko jest uczęszczany nawet przez tubylców. Chcąc dostać się do Indii, podróżnicy zwykle wsiadają na okręt w Kolombo, jadący do Bombaju, albo też przeryniają całą wyspę koleją żelazną (zachwycająca podróż) i następnie, małym, parowym statkiem dojeżdżają do Pondichery.

Z morza południowa część Ceylonu rozwija się stopniowo przed okiem zbliżającego się podróżnika, tworząc w perspektywie wspaniały krajobraz, złożony z czterech rzędów coraz wyższych gór, ponad którymi „wierzchołek Adama“ w formie ostrokręga wznosi się imponująco nad całą wyspą. Na wierzchołku Adama buddhysci, dzięki swej imaginacji, odkryli pewną wklęsłość, posiadającą wygląd olbrzymiej stopy, którą nazywają „Sripada“ t. j. odbiciem stopy samego Buddy. W głębi, obok wierzchołka Adama, widać inny szczyt „Pedrotalagalla“, mający przeszło 2009 metrów wysokości. W tej górzystej części wyspy leży, nad obszernym jeziorem miasto Kandy, stolica, a raczej dawna

stolica (obecną oficjalną stolicą Ceylonu jest miasto Kolombo) królestwa Sinhałów, kompletnie tonące w zieleni i posiadająca w okolicy zwanej „Peradeniya“, cudowny ogród botaniczny, trzeci z rzędu pod względem bogactwa roślinnego. (Największy ogród botaniczny istnieje na wyspie Jawie, a drugi — w Kalkucie). W ogrodzie można podziwiać 258 rodzaj storczyków, rosnących na wyspie, potężne baobady, drzewa hebanu, 15 gatunków palm krajowych, z których palmy kokosowe dostarczają orzechów, uważanych jako najsmaczniejsze na ziemi, plantacje kakao i czarnej herbaty. Herbata Ceylońska jest obecnie bardzo w modzie w całej Anglii i we Francji. W miejscowym muzeum można oglądać wiele ciekawych okazów, a między innymi, jedyne w świecie egzystujące tylko na wyspie, pełzające po ziemi i drzewach ryby zwane przez tutejszych mieszkańców — „kawaya“ i nietoperze *wielkości pszczoły*. Wreszcie, pagoda buddyjska Dagoba, zbudowana w oryginalnym stylu indyjskim, zawiera w swoim ołtarzu *prawdziwy ząb Buddhy*, relikwie, słynącą z cudów w całym świecie azyatyckim i do której miliony wyznawców odbywa rok rocznie pielgrzymki święte dla uproszenia łask i cudownych uzdrowień. Droga z Kolombo do Kandy (około 4-ch godzin) jest tak malownicza, że nawet konduktorzy kolei żelaznej, którzy tam przejeżdżają codziennie, nie mogą się oswoić z jej wspaniałością, zawsze na nowo ją podziwiają.

Obecni mieszkańcy Ceylonu, Sinhałowie, o czerze czekoladowej, odznaczają się wesołością, ruchliwością i są dosyć wykształceni. Pismo Sinhałów

posiada tę cechę charakterystyczną, że składa się z liter zupełnie okrągłych, pozbawionych wszelkich prostych kresek. Naród, wogóle sympatyczny, usługujący, z wyrazem twarzy nadzwyczaj łagodnym, kobiecym. Sinhałowie ubierają się w jaskrawe „pagne“, t. j. owijają dolną część ciała jedną sztuką materii, najczęściej jedwabnej, która im zastępuje nasze „inexprimables“; noszą długie, krucze włosy, związane w węzeł, oraz okrągły, okalający całą głowę, sztyldkretowy grzebień. Kobiety, proporcjonalnie zbudowane, okrągłe, pulchne, czekoladowe, z głębokimi czarnymi melancholijnymi oczami, lubią bardzo wszelkiego rodzaju biżuterię i świecidełka.

Wogóle, pod względem biżuterii i ozdób kobiecych, sędzę, że śmiało można postawić na pierwszym miejscu Indyanki. Zwiedzając w Kolombo las cynamonowy, spotkaliśmy siedzącą przed domem pewną bogatą Indyankę, która posiadała na sobie: 10 koleczyków w każdym uchu zawieszonych od góry do dołu, trzy koleczyki w nosie (w każdej dziurce po koleczyku i jeden koleczyk w przegrodzie nosowej), po trzy bransoletki na każdej ręce i nodze i oprócz tego, na wszystkich palcach, tak u rąk jak u nóg po dwa kosztowne pierścionki... Niektóre Indyanki noszą po 5, 6 ciężkich złotych koleczyków, zawieszonych w kilku sąsiednich przekłuciach, przez co dolna część ucha zupełnie się rozdziera i wytwarza otwór długości paru centymetrów. W Singaporze widziałem małą Indyankę, która za cały kosztium posiadała jedyny koleczyk, w formie okrągłej srebrnej blaszki, zawieszony w dolnej części pod-

brzusza. Za to Japonki, na tym punkcie, odznaczają się wyjątkową skromnością: uważając za nie stosowne, ażeby metal dotykał gołego ciała, nie noszą wcale ani pierścionków, ani koleczyków.

Pod względem zaś dekolowania, najwstydlwsze są, na pozór, Turczynki i Egipcjanki, które zakrywają całe ciało z wyjątkiem oczów. Następnie Chinki odkrywają całą głowę do szyi, Annamitki skrzętnie otulają szyję i pierś, ale chodzą boso. Indyanki i Malabarki są zwykle dekolowane do piersi. W Senegalu kobiety chodzą po ulicy obnażone do pasa, w Sudanie noszą tylko pas niewinności, a w południowej Afryce nie noszą żadnych pasów. Wracam do Kolombo.

Pierwobytni mieszkańcy Ceylonu, z których dziś pozostało zaledwie parę tysięcy, zowią się Wedalahy, żyją w lasach, w dzikim stanie, bez ubrania, strzelają jeszcze z łuków, uciekają od ludzi, nie myją się wcale w przekonaniu, że woda odejmuje siłę i posiadają jedną, jedyną oryginalną cechę, że nigdy się *nie śmieją* z obawy, ażeby, zgodnie z ich zabobonem, nie skończyć nagłą śmiercią... *Vanitas vanitatis!* Trudno uwierzyć, że niegdyś (na parę set lat przed Chrystusem) ten naród był jednym z najsilniejszych i najwięcej ucywilizowanych narodów Ceylonu. Ruiny Anaradrapury, dawnej stolicy Wedalah'ów posiadają resztki pomników zwanych „stupas“, które były tak kolosalne, że podług obrachowań dzisiejszych inżynierów, z cegły każdego stupas możnaby zbudować 8000 naszych piętrowych domów. W okolicach Anaradrapury znajduje się także sławne *drzewo święte*, które było za-

sadzone w 288 roku przed narodzeniem Chrystusa i które, podług sprawozdania tutejszego towarzystwa botaników, istnieje jeszcze obecnie (?). Ceylon, nadto, zawiera ogromne bogactwa naturalne, mianowicie: największą ilość w świecie rubinów, szafirów, topazów, opali i pereł. Zdarza się, że poszukiwacze drogich kamieni odkrywają całe skały naszpikowane granatami. A pereł wyłowiono tu od kilkuset lat taką masę, że w okolicach miasta Aripo dziś jeszcze podróżnik może podziwiać brzegi morskie, usłane na kilkadziesiąt kilometrów muszlami perłowymi, tworzącymi rzeczywisty wał, którego grubość przechodzi półtora metra!...

Nasz okręt zatrzymał się w przystani punkt o 12-ej. Zaraz potem pokład został obleżony przez mnóstwo mniejszych handlarzy drogich kamieni, biżuteryi, owoców, pocztówek, marek i rozmaitych drobnych wyrobów wyspy. Za handlarzami przybyli pracze bielizny i wreszcie czarne dyabły, prowadzące za sobą głębokie statki, napelnione węglem.

Ponieważ ładowanie węgla wydziela zawsze bardzo wiele drobnego, przenikającego wszędzie czarnego, smołącego pyłu, przeto, pomimo, gorąca, opuściliśmy okręt natychmiast. Najawszy więc pirog odpłynęliśmy w stronę miasta, oddalonego na kilometr od naszego postoju. Tutejsze pirogi są zbudowane, lub wyżłobione w formie długiej, nadzwyczaj wąskiej łodzi, szerokości jednej osoby, w której pasażerowie usadawiają się jeden za drugim. Dla utrzymania równowagi podczas nawigacyi, pirogi posiadają z jednego boku przymocowa-

ny na pewnej odległości, kawał pływającego, ciężkiego draga, a wiosłarz najczęściej pracuje z tyłu, sam jeden, robiąc wiosłem ten sam ruch, co śruba okrętowa.

Stanawszy na czerwonej, miedzianego koloru ziemi Sinhalów, udaliśmy się najpierw do Galle Face hotelu na kawę. Przy stolikach masa przejezdnych, przeważnie Anglików w czarnych smokingach i białych krawatach, sztywni, jak patyki. Na werandzie dla zabawy zebranych gości, dwóch indyjskich czarowników, siedząc na ziemi, pokazuje sztuki; jeden z nich gra na flecie, a drugi drażni i oprowadza okularników. W Indyach i na Ceylonie egzystuje wiele jadowitych węży, z których grzechotnik i okularnik są najstraszniejsze i grożą ludziom natychmiastową śmiercią. Okularnik w tych krajach nazywa się „kobra“, a w Indyach „nadjah“ i odznacza się od innych tem, że, chcąc ukąsić, wyprostowywa się, a łeb i szyję zginając poziomo rozszerza je w trójkąt i wówczas na grzbiecie kobry można dostrzec czarny rysunek, podobny do namalowanych tuszem okularów. Ukąszenie kobry działa jak wystrzał rewolwerowy i dotąd jeszcze nie wynaleziono żadnego ratującego środka. Jedyne zwierzę, które wcale kobry się nie lęka, a nawet przeciwnie, jest zażartym jej nieprzyjacielem, to małe zwierzątko zwane „mangustan'em“, przypominające naszą kunę. Mangustan, spostrzegłszy kobrę, najeża się zelektryzowany, rzuca się i przegryza szyję kobry z taką piorunującą szybkością, że żmija nie ma czasu uczynić najmniejszego ruchu. Po spełnionym fakcie, mangustan, mrucząc z zadowo-

lenia, odchodzi z placu walki i więcej ofiarą się nie interesuje. W Indyach, w okolicach Kalkuty, istnieje bardzo dużo okularników; dla tego też we wszystkich hotelach chowają mangustanów, jak u nas kotów, ażeby przejezdni mogli spać w spokoju i bez obawy. Wieśniacy indyjscy, u których powonienie jest o wiele silniej rozwinięte, niż u nas, odkrywają kobrę zdaleka po zapachu. Podczas jednej z moich wycieczek widziałem indyjskiego czarownika, polującego na kobry: Czarownik po odkryciu żmii podchodzi ku niej jak można najbliżej, (okularnik nigdy nie atakuje pierwszy, nie będąc zaczepiony) i, upatrzwszy miejsce chwyta kobrę lewą ręką z szybkością błyskawicy jak mangustan zaraz przy łbie, tak, ażeby żmija nie mogła paszczy obrócić. Następnie prawą ręką wyrывa, za pomocą dwóch klinów z bambusu, okularnikowi kły i rzuca go na kawał czerwonego sukna, na który spływa jad, podczas gdy okularnik z bólu gryzie sukno ze wściekłością. Naturalnie każde chybienie lub brak decyzji ze strony czarownika grozi mu nagłą śmiercią. Podczas tej wycieczki mój kolega i ja trzymaliśmy na pogotowiu każdy w swoim worku mangustana, na wypadek osobistej obrony.

Po kawie poszliśmy na pocztę; potem, ponieważ było jeszcze bardzo gorąco, pojechaliśmy do tutejszego muzeum, położonego w „Victoria“ parku. W muzeum, zaraz przy wejściu na lewo, stoi obszerny szklany kloz, pod którym rośnie drzewo gojawy z kilkoma żyjącymi okazami „muchy-liścia“, o której Wam wspomniałem w poprzednim rozdziale. Mucha nosi w świecie przyrodniczym nazwę:

„*Pulchriphyllium Cruferi felium*“. Małe, niedawno wylęgnięte czerwone listki (które z wiekiem zieleńnią), przechadzają się także po kloszu, chociaż wiele trupów leży na ziemi obok swych jajeczek. Tamże na pierwszym piętrze znajduje się drugi w tymże rodzaju okaz, przedstawiający gałąź, złożoną z pięknych liści, z których kilka są zastąpione do niepoznania na pierwszy rzut oka, przez siedzących na gałęzi motyli.

.....

Popołudnie spędziliśmy w hotelu Bristol i w okracających hotel magazynach, a o 11-ej wieczorem podnieśliśmy kotwicę i pożegnaliśmy ostatecznie czarowne Kolombo, jak również granice prawdziwej Azji. Poetyczny księżyc w pełni towarzyszy naszej dalszej podróży. Za dziesięć dni staniemy w Adenie na brzegach Arabii.

K O N I E C.

Ostatnia nowość MYDŁO GLICERYNOWE KWIATOWE

w następujących zapachach:

IRIS

JAŚMIN

FUOLEK

LILA de PERSE

MIMOZA

MUQUET

SWEET PEA

SZTUKA
20 KOP.

POLECA

TOW. AKC. FRYDERYK PULS
w WARSZAWIE

Skład główny: Plac Teatralny № 11
Półka Nowy Świat № 41

ST. HANKIEWICZ

„MODERNE“ Wyborne MYDŁO
F. PULS.

TOW. AKC.

W WARSZAWIE

DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.

OD KASZLU I CHRYPKI

ZAŁECAJĄ LEKARZE

FAY'A

PRAWDZIWE
SODEŃSKIE
MINERALNE
PASTYLKI

Cena pudełka 70 kop.

Do nabycia we wszystkich
aptekach i składach
aptecznych.

Żądać wyraźnie pastylki

FAY'A i odrzucać falsyfiki-
katy.

Znakomitym środkiem
przeczyszczającym,
BEZ ZAPACHU I SMAKU,
zalecany
przez poważnych lekarzy
jest

RICINUS SICCOL

(Olej rycynowy w proszku).

Zatwierdzony przez Dep.
Med. za Nr. 138 z d. 23/2
1903 r. na co zwracamy
uwagę.

Doza dla dzieci za 5 kop.,
dla dorosłych za 10 kop.

Dostać można w składach
aptecznych i aptekach.

Wysstrzegać się naśladownictw.

NESTLE'A

MACZKA MLECZNA

===== IDEALNY POKARM =====
== DLA NIEMOWŁĄT ORAZ DOROSŁYCH ==
===== CHORYCH NA ŻOŁĄDEK. =====

Czwarte Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu

Królewska 17. Telef. 99-35 i 45-45.

Kapitał odpowiedzialny 1.300
członków wynosi
Rb. 1.500.000.

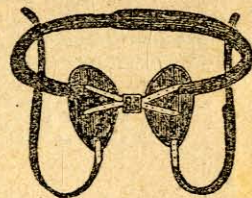
Załatwia wszelkie operacje,
wchodzące w zakres intere-
sów bankowych. Przyjmuje
kapitały na oprocentowanie
od 50 rubli.

Płaci od wkładów:

za 5 dniów, wypowiedzeniem	4 $\frac{3}{4}$ %
„ 1 miesięcznym „	5%
„ 3 „ „	5 $\frac{1}{2}$ %
„ 6 „ „	6%
„ 1 rocznym „	6 $\frac{1}{2}$ %

Towarzystwo wydaje prze-
kazy na zagranicę.

Zarząd: Feliks Rychłowski,
Stanisław Gralewski,
Wincenty Kosztowski.



Medal srebrny z Wystawy w Krakowie.

Fabryka i skład Narzędzi Chirurgicznych

oraz Specjalna fabryka
BANDAŻY RUPTUROWYCH

F. Balukiewicza,

Warszawa, Bielańska 9

(Hotel Paryżki).

Posiada na składzie wielki wybór
narzędzi i przyrządów chirurgicz-
nych, tak Francuzkich fabryk,
jako też swego wyrobu, z czem
poleca się łaskawym względem
W. W. P. P. Doktorów.

Przyjmuje wszelkie reperacje,
wchodzące w zakres fabryki, któ-
re jaknajspieszniej i możliwie po
cenach przystępnych wykonywa.

KOTYLJON

TOUR'Y KOTYLJONA
ORDERY — PUKAWKI
MASKI — KARNECIKI

i różne karnawałowe niespodzianki.

JULIAN MILLER

w Warszawie, ulica Senatorska Nr. 24.

BAJECZKI DLA DZIECI

WIERSZEM

w oryginalnym układzie
zaszczytnie znanej w świecie Milusińskich

„CIOCI ZOSI”

- 1) Czerwony Kapturek,
- 2) Robinson Kruzo, 59695
- 3) Pierwsza Myszka

Pana Mruczka

z ilustracjami, w kartonowej oprawie, opuściły
prasę i są do nabycia w Warszawie we wszystkich
księgarniach, składach materiałów pi-
śmiennych, oraz zabawek dzieciennych, w cenie
20 kop. za egzemplarz.

DLA PROWINCJI:

Zapotrzebowania listowne należy adresować:
TEODOR WIĘCKUS, WYDAWCA,

Warszawa, ul. Widok Nr. 19 m. 11.

Przesyłka na koszt odbierającego.

Na każdej przesyłce zaliczenia pocztowe o 10 kop.
są droższe od ceny zwykłej.

UWAGA: Prenumeratorzy „Biblioteki Dzieł Wyboro-
wych” za przesyłkę książeczek kosztów nie ponoszą,
o ile nadeślą wprost do wydawcy lub „Biblioteki” ilość
marek pocztowych, równających się wartości ob-
stątku.